Nr 39 (1549). Warszawa, 24 września 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 4-ty kwart.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Za grzechy XVII-go wieku.

Walka Watykanu z „modernizmem" zaognia się w sposób nieprzewidziany. Warszawscy wierni i niewierni obrońcy powagi i polskości Kościoła katolickiego, z panem Straszewiczem na czele, gotowi nam i teraz tłumaczyć, że akcja rozegrywa się bardzo daleko i nas, jako Polaków, wcale nie dotycze, tak jak dowodzili w swoim czasie, że nie powinna nas — jako naród katolicki — nic a nic interesować encyklika boromeuszowa, przeciw protestantom wymierzona. Pan Straszewicz zapomniał na ten moment o istnieniu takich Polaków jak pan Piltz i doktór Benni. Może przekonani, że Pius X, mówiąc o heretykach i kacerzach, nie ich miał na myśli, nie uczuli się ci panowie osobiście obrażeni; wiedzieli również, że choć Polska jest pono krajem bardzo pobożnym i nawskroś katolickim, bez względu na papieskie gromy, włos z głowy im nie spadnie.

Tylko dlatego, że Polacy na ogół wcale tak poważnie nie biorą katolicyzmu i nieomylności papieskiej, jak się to w nich wmawia, — treść encykliki boromeuszowej budziła u nas tylko akademickie zainteresowanie.

Inaczej rzecz się ma z modernizmem. Jest to wewnętrzna sprawa kościelna; rozegrywa się na terenie, objętym przez jurysdykcję papieską. Tu Pius X nie wygłasza opinji, lecz wydaje rozkazy i te muszą być wykonywane. Złożenie z urzędu tak wysokiego dygnitarza jak arcybiskup Perugji, świadczy, że te surowe prawa nie będą w wykonaniu łagodzone, lecz spełniane z całym rygorem. Nie ulega wątpliwości, że ani arcybiskup Popiel, ani biskup Zdzitowiecki, ani ks. kardynał Puzyna, nie wystąpią jako ich ofiary, raczej jako wykonawcy. Natomiast każdy tak zwany *wyjątkowy* ksiądz czy biskup, t. j. każdy, który prócz średniowiecznie-kościelnego umie jeszcze jakiś świecki punkt widzenia podzielać, każdy ilekolwiek rozumny i naukę — choć osobiście, choć prywatnie — szanujący, każdy choć trochę tolerant, choć trochę europejczyk XX-go wieku, może być lada chwila wzięty w ciasne kleszcze i albo poskromiony, albo wyrzucony poza nawias życia kościelnego. Różni Jędrychowscy, Kłopotowscy i im podobni staną na czele tej—ustanowionej przez papieża księżej inkwizycji strasząc i teroryzując różnych X-ów. Nie wymieniajmy żadnego nazwiska, aby tym nieszczęśliwym nie szkodzić.

Ile depprawacji, ile intryg zakulisowych, ile konkurencyjnego kopania dołków pod kolegami może się zakorzenić i rozkrzewić po wszystkich dyecezjach i konsystorzach — zaiste trudno obliczyć.

Tak jest; ale cóż nas to wszystko może obchodzić? Nas, ludzi wolnomyślnych, postępowych, nas, inteligencję wyzwoloną z dogmatyzmu a oddychającą atmosferą europejskiego świata myśli i wiedzy?

Niestety, w pewnej mierze panowie z prawicy mają słuszność; jakkolwiek katolicyzm i polskość to wcale nie jedno, Polska, dzięki zasługom Jezuitów i księdza Skargi, mimo silnych prądów reformacji w XVI-tym wieku, katolicką na ogół pozostała — i to się na niej dziś zemścić może.

Jak każdy ksiądz jest pod bezpośrednią władzą Watykanu, tak każdy w Polsce katolik, choćby był nim tylko z urodzenia, jest w pewnej mierze pośrednio zależny od władzy księży i z konieczności w najważniejszych momentach swego życia z nimi — jako z urzędnika-

mi — liczyć się, do nich odnosić się musi. Ksiądz-tolerant, ksiądz w pewnej mierze — *modernista*, może tę zależność łagodzić; gdy jednak na rozkaz Watykanu nowoczesna inkwizycja takich tolerantów w nowszym stylu albo ujarzmi albo usunie, życie może się stać nieznośnym nawet dla tych ludzi, którzy się szczerze za katolików uważają, a są — sami o tym nie wiedząc — modernistami. Modernistą bowiem musi być dziś każdy, kto nie chce się wyrzec wszystkich dobrodziejstw oświaty, nauki, kultury europejskiej, słowem, kto się nie zrezygnuje na zupełną ciemnotę.

Przypominamy tylko tutaj *Bullę szkolną* arcybiskupa Popiela, zupełnie w duchu wszystkich encyklik papieskich zredagowaną. Wystarczyłoby dosłownie wprowadzić ją w życie, ażeby stłumić i zdusić normalny rozwój umysłowy naszych młodych pokoleń.

Jest rzeczą niewątpliwą, że we wszystkich krajach katolickich, mogących wedle własnej woli regulować swe wewnętrzne stosunki, polityka obecna Watykanu wywoła silne fermenty. Tam, gdzie ogół jest już zupełnie przygotowany do laicyzacji całego życia publicznego, nastąpi to, co już dokonane zostało we Francji.

Gdzie prądy wolnomyślicielskie są słabe, a tradycje religijne mocno zakorzenione, powstaną schizmy, może (!) modernizm wystąpi rzeczywiście jako sekta, może zwiększą się zastępy starokatolików; może wreszcie tam, gdzie żadne względy polityczne nie staną na przeszkodzie, zacznie się gremjalna dezercja z kościoła katolickiego i przenoszenie się na łono innych, bardziej tolerancyjnych wyznań. Podobno jakaś odwieczna przepowiednia przyczepiła do pontyfikatu przyszłego papieża wróżbę „wyludnienia Kościoła". Może suggestjonuje ona kardynała Merry del Val, gdyż istotnie czyni on wszystko, co może być najskuteczniejszym dla ziszczenia się tej złowieszczej zapowiedzi..

Bądź co bądź nasze społeczeństwo staje wobec tego nowego przełomu bardziej bezsilne i bezradne niż każde inne.

Lud względnie jest najlepiej zabezpieczony; ma on już swój własny, polski kościół, zaspakajający jego religijne potrzeby i wyzwalający go z pod władzy Rzymu. Marjawityzm, który obecnie stał się już oficjalnie gałęzią starokatolicyzmu, może na walce Kościoła z modernizmem z czasem doskonałe robić interesy, zwłaszcza, że biskup Kowalski w swym liście pasterskim wręcz odwrotnie niż Pius X zaleca poszanowanie nauki, oświaty, tolerancję dla innych wyznań.

Inteligiencja jest w dużo gorszym położeniu. Wbrew temu, co się u nas mówi, jest ona na ogół tylko formalnie, tylko urzędowo z Kościołem związana; jest przytym bezgranicznie obojętna dla wszelkich spraw religijnych, a stąd nie zdolna ani nowej wiary dla siebie stworzyć, ani starej odrzucić lub na inną zamienić.

Zanadto leniwa, tchórzliwa, nieszczera na to, aby być antyreligijną, jest jednak do gruntu bezreligijną; przywykła swą przynależność do tego lub owego wyznania traktować, jako sprawę paszportową oraz kwestję formalności metrycznych, ślubnych, pogrzebowych. Nie to ją razi, gdy ktoś nie wierzy, lecz gdy mówi, że nie wierzy — i sprowadza przez to na siebie i drugich różne *nieprzyjemności*. Trudnoż jednak tę bezmyślną bierność posuwać tak daleko, by dla formalnej, paszportowej przynależności do Kościoła — wyrzekać się gieografji, historji, bjologji, lub literatury przez indeks piętnowanej. Dotychczas nikt tego na serjo nie wymagał, ale teraz ultimatum, postawione księżom za ich pośrednictwem, dotknie wszystkich katolików paszportowych.

Szczerej i zupełnej bezwyznaniowości prawo nasze nie uznaje i pod tym względem na szybką reformę liczyć trudno. Jest też rzeczą wątpliwą, czy miałaby ona u nas żywe poparcie i szeroką popularność; oswojono się już może z rzeczą samą, ale nie oswojono się z wyrazem. Marjawityzm do inteligiencji nie przesiąka; jest może na to zbyt naiwny. Obce wyznania — prócz jednego kalwinizmu, mającego stare polskie tradycje poza sobą — dla swych politycznych skojarzeń

B. LEŚMIAN.

Znaczenie pośrednictwa w metafizyce życia zbiorowego.

Na wstępie niniejszego szkicu musimy sobie przedewszystkim wyjaśnić różnicę pomiędzy życiem pośrednim a bezpośrednim, pomiędzy abstrakcją a żywiołem. Na tych bowiem dwóch odmiennych wartościach, jako na punktach wyjścia i powrotu, utwierdzimy główny tok swoich rozumowań. Te właśnie słowa: pośredni i bezpośredni, abstrakcja i żywioł, najczęściej powtarzać będziemy, jako nazwy tych przystani, w których myśl nasza naprzemian, w przerzutnej swojej wędrówce, przebywać będzie zmuszona. Porozumiejmy się więc zawczasu co do treści i formy tych pojęć.

Zamiast wlec się uboczną drogą zmudnych i zbytecznych w danym razie sylogizmów, zaznaczymy tu, bez poprzedzeń idejowych, łatwą do postrzeżenia różnicę pomiędzy życiem twórczym, a tym, które już stworzonym zostało. To pierwsze przezwijmy—*natura naturans*, zaś to drugie *natura naturata*.

Te umówione z góry określenia, jak zresztą wszelkie inne, nie wyjaśnią nam zgoła samego przedmiotu, lecz za to napiętnują go pewną barwą, po której na przyszłość zawsze poznamy, że mowa o tym właśnie, a nie o innym przedmiocie. Prócz tego słowo, podniesione do znaczenia terminu, pewniej, nieustanniej i pracowiciej budzi naszą uwagę, skierowując ją do upatrzonego a priori celu. Wreszcie terminologia, podkreślając na czas trwania pewnej koncepcyi idejowej te lub inne pojęcia, ujmuje, w styl i w ład samo myślenie, zaś myśli poszczególne roztasowuje według ukształtowanej w duchu hierarchii. Te kilka słów powyższych winny naszym zdaniem, stwierdzić tak prostotę, jak i potrzebę przyjętej przez nas terminologii.

Dziedzina *naturae naturantis*—jest dziedziną twórczą istnienia, jego podstawą źródłową, jego wszechmożliwością. Słowem tym, co się jeszcze nie wcieliło, nie uwidoczniło, lecz co się wiecznie i co chwila wciela i uwidacznia. Jej cechą charakterystyczną jest nieustanna zmiana oraz nieodłączność danego przedmiotu od nagromadzonej w nim pracy twórczej. Wartość przedmiotu mierzy się wysiłkiem tej pracy, która

są niemożliwe do przyjęcia. Nikt nie zechciałby zresztą z deszczu trafić pod rynnę. Z tego wszystkiego wyniknie zapewne, że na krucjatę przeciw modernizmowi nasze klasy wyższe reagować będą tylko spotęgowaniem obłudy, jeśli nie zdecydują się na samobójcze cofnięcie wstecz — tak bardzo spóźnionego rozwoju naszej duchowej kultury. Albo zatym obniżenie moralnego, albo umysłowego poziomu może być ostatecznym rezultatem.

Jeszcze raz zapłacimy koszta reakcji katolickiej, pogromu Arjanów i innych grzechów XVII-go wieku.

M. 3

Kooperatywa a socjalizm.

Kwestja stosunku socjalizmu do kooperatyw była przedmiotem obrad międzynarodowego kongresu socjalistycznego, który odbył się w tych dniach w Kopenhadze. Fakt narzucenia się sprawy kooperatyw uwadze socjalistów ma znaczenie niezmiernie symptomatyczne. Wysuwa on, pomiędzy innymi, na widownię bardzo interesującą książkę, pióra d-ra Hansa Müllera, sekretarza szwajcarskiego związku stowarzyszeń współdzielczych, która w roku bieżącym ukazała się w przekładzie polskim p. t. „Teorja walki klasowej i zasada neutralności ruchu współdzielczego".

W pracy tej Müller analizuje stosunek tych zasad ekonomicznych, którymi ma rządzić się w przyszłości społeczeństwo socjalistyczne do zasad, jakimi kierują się dziś istniejące kooperatywy, a następnie rozpatruje stosunek partji socjaldemokratycznej w drugiej połowie zeszłego wieku do organizacji współdzielczych. W ten sposób książka Müllera ujmuje całe zagadnienie zarówno ze strony teoretycznej, jak i ze strony praktycznej.

Ustrój socjalistyczny ma być antytezą kapitalizmu. Zamiast własności prywatnej — własność zbiorowa; zamiast systemu nieuplanowanego wytwarzania dla rynku — produkcja z góry uregulowana w stosunku do potrzeb; zamiast przywileju ekonomicznego w postaci odziedziczonego kapitału — przywilej naturalny większego uzdolnienia, który ma decydować o stanowisku, jakie zajmie jednostka; zamiast absolutnej władzy przedsiębiorcy w swoim zakładzie — system umów pomiędzy zbiorowym przedsiębiorcą, a zbiorowym wykonawcą. Wszystkie te zasady bez wyjątku odnajdujemy w kooperatywie. Stanowi ona własność zbiorową spożywców, którzy przystępują do niej bez żadnych kapitałów, lecz z postanowiem robienia wszystkich zakupów właśnie w sklepie współdzielczym, a nie w żadnym innym. Gdy kooperatywa spożywcza przerzuca się na produkcję, nie wytwarza ona dla rynku, nie ponosi ryzyka, nie konkuruje z nikim, gdyż produkt znajdzie zbyt w jej własnych sklepach. Przywilej ekonomiczny jest zniesiony, gdyż zyski dzielą się nie w stosunku do wniesionych udziałów, lecz w stosunku do poczynionych zakupów. Jest to premjum za gorliwość, a nie dochód bez pracy od kapitału. Absolutyzm przedsiębiorcy jest usunięty: zbiorowy pracodawca, ogół spożywców, umawia się o warunki pracy z zbiorowym pracownikiem, ogółem najemników, zajętych w kooperatywie; przyczym każdy najemnik kooperatywy, o ile zaopatruje się w sklepie kooperatywnym, staje się pośrednio swoim własnym pracodawcą, a — jeżeli wyobrazimy sobie, że gospodarka kooperatywna zupełnie wyrugowała gospodarkę kapitalistyczną — to każda jednostka będzie cząstką zbiorowego ciała pracodawców, jako spożywca i cząstką zbiorowego grona pracowników, jako wytwórca. Rozbieżność interesów spożywcy i wytwórcy zleje się w jednym i tym samym osobniku.

Ostatecznie więc, kooperatywa — to „wydobywający się wewnątrz społeczeństwa kapitalistycznego potężny szmat ustroju socjalistycznego"; wobec olbrzymich realnych rezultatów, jakie osiągnął ruch kooperatywny, niepodobna uważać go za „doktrynerski eksperyment, lecz za organiczny proces stopniowego urzeczywistnienia się socjalistycznego systemu wytwarzania".

Jakże zachowali się socjaliści wobec tego urzeczywistnienia socjalizmu?

Zachowanie to było rozmaite, zależne od tych faz, jakie przechodził socjalizm. Twórcy kooperatywy, słynni tkacze z Rochdalu, byli to uczniowie Owena, którzy ogólny system mistrza wyspecjalizowali, stosując go przedewszystkim do przeobrażenia handlu, i udoskonalili, wprowadzając zasadę podziału zysków w stosunku do poczynionych zakupów. Samo więc powstanie Kooperatywy było szczególnie szczęśliwym

---

w zakresie atrybutów przedmiotu jest z nim *jednoznaczna*.

Możemy więc powiedzieć, że każdy konkret, w tej dziedzinie zjawiony, jest *jednoznaczny ze sobą samym*, posiada jedno tylko, swoje własne, nie zaś symboliczne, nadane mu, naprzykład, wymogami współżycia znaczenie. Jest to jedyna realność przedmiotu, która właśnie polega na identyczności jego idei z nim samym. Ta identyczność, jak to zobaczymy później, bywa naruszona w chwili, gdy dany konkret z dziedziny *naturae naturantis* przechodzi do państwa *naturae naturatae*.

Stanem więc bezpośrednim, żywiołowym, nazywamy stan *tożsamości przedmiotu ze sobą*, całkowitej i pierwotnej zgody jego formy z treścią, to znaczy taki stan, kiedy przedmiot najbardziej należy do siebie samego i jednocześnie do potęg, które go wyłoniły, u których wysiłek, określony i ograniczony atrybutami danego przedmiotu, stanowi w rezultacie twórczym sam przedmiot, oglądany ze stanowiska *naturae naturantis*. To ostatnie stanowisko jest warunkiem metafizycznym wszelkich uczuć bezpośrednich, żywiołowych, twórczych. Zaznaczymy tu wyraźnie i z naciskiem, iż to stanowisko zawsze i przedewszystkim jest metafizyczne. Im dusza jest pierwotniejsza, tym bardziej metafizyczne bywa jej usposobienie względem otaczającego ją świata oraz jej język, jej wymowa, która, daleka od wszelkiej prozy, szuka rytmu, jako niematerjalnej, bezcielesnej kanwy dla swego czystego myślenia. Niesłusznie też podejrzywamy człowieka pierwotnego o niezdolność do czystego myślenia, narzucając mu myślenie obrazami, jako bardziej żywiołowe.

Dość nam się cofnąć do czasów minionych, dość zajrzeć do Wed, do Lality Vistary i do innych ksiąg pradawnych, ażeby się naocznie przekonać o tym nieodpartym fakcie, że człowiek od nas pierwotniejszy posiadał umysł wyłącznie niemal i przedewszystkim metafizyczny. I nie tylko umysł, bo w swej niepodzielności duchowej i cielesnej, obcy wszelkiej specjalizacji i zróżniczkowaniu, godził, a właściwie nie umiał nie godzić trybu swego życia z trybem myślenia. Posiadał więc,—życie metafizyczne, bezpośredniej związane, pokrewniejsze żywiołom, uważniej i nieustanniej wsłuchane w poszepty *naturae naturantis*.

On—ów człowiek pierwotny, dążył do tego, ażeby obrazy, które widział, stały się jego myślami. My zaś przeciwnie—staramy się o to, ażeby myśli nasze stały się obrazami... My, obrazujemy myśli. On—przemyśliwał obrazy. My dzięki długim walkom, które nas do przyrody, jako do zdobyczy naszej, *zbliżyły*, poczynamy swe myśli po za sobą, w przyrodzie, która ma

zastosowaniem tego socjalizmu zrzeszeniowego (associationiste), któremu Owen, Fourrier, Proudhon i Louis Blanc nadali ogólne kontury i zasadniczą myśl, wywołując całe szeregi doświadczeń, udanych i nieudanych.

Niebawem jednak, po stłumieniu ruchów 48-go roku, reakcja ujmuje w swe żelazne pęta społeczeństwa europejskie. Reakcja ta wywiera swój wpływ i na socjalizm, przekształcając go w sektę ciemnych fanatyków, żyjących ślepą nienawiścią do wszystkiego i wszystkich i wiarą w samounicestwienie się zła, t. j. ustroju kapitalistycznego. Wyrazem tej reakcji jest marksizm, skondensowany w dwóch formułach „walki klas" i „dyktatury proletarjatu". Pierwsza wyrażała uczucie nienawiści do kapitalistów, druga — wiarę w zwycięztwo nad nimi. Nienawiść miała być głównie bierną, bo zwycięztwo ma być nietyle rezultatem akcji proletarjatu, ile skutkiem degieneracji samego kapitalizmu. Ponieważ koncepcja tego zwycięztwa, które się osiąga nie dzięki własnym czynom, lecz dzięki błędom przeciwnika — jest zbyt sprzeczna z normalną psychiką ludzką, więc podniesiono do apoteozy czyn nieświadomy, żywiołowy, taki, który jakieś mistyczne życie samo przynosi. Rzecz prosta, że tego rodzaju religja biernej nienawiści, nieświadomego czynu i opatrznościowego zwycięztwa musiała jaknajsurowiej potępić akcję zupełnie świadomą swoich celów, opartą wyłącznie na własnych wysiłkach, zwalczającą kapitalizm stopniowo i nie za pomocą walki w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, lecz dzięki dawaniu sobie rady bez jego pomocy. Kooperatyści ani kochają, ani nienawidzą kapitalistów, tylko urządzają się tak, aby ich nie potrzebować. Dopóki kapitał prywatny odpowiada jakiejś potrzebie społecznej, dopóty istnieje; jeżeli się chce go zniszczyć, trzeba go uczynić niepotrzebnym i módz zastąpić czymś innym. Całe to rozumowanie jednak było i jest dla marksistów księgą zamkniętą na siedm pieczęci.

Już rezolucja jednego z pierwszych zjazdów „Międzynarodówki"— gienewskiego, orzeka, że „sklepiki współdzielcze poruszają tylko powierzchnię współczesnego życia ekonomicznego". Mali epigoni wielkiego człowieka, niemieccy ortodoksyjni marksiści, są jeszcze bardziej kategoryczni. W parlamencie niemieckim, na posiedzeniu z 31 Stycznia 1893 r., Bebel nazwał stowarzyszenia współdzielcze instytucjami, nie mającymi nic wspólnego z wielkim ruchem socjaldemokratycznym „Nie przywiązujemy żadnej wagi do korzyści, jaką przynoszą swoim członkom współdzielcze stowarzyszenia spożywcze, gdyż jesteśmy zdania, że nie mają one żadnego znaczenia dla tych wielkich przekształceń, które wchodzą w grę, gdy chodzi o to, aby wyzwolić klasę robotniczą". W owym czasie chodziło o usunięcie ograniczeń, jakimi państwo krępowało kooperatywy w interesie drobnych sklepikarzy. Oczywiście Bebel stanął po stronie sklepikarzy. Nam się ciągle zdaje, że tylko reakcja polityczna i religijna ma w ortodoksyjnym marksizmie dzielnego współpracownika. Jest to omyłka. Reakcja ekonomiczno-społeczna ma mu również wiele do zawdzięczenia.

Gdy w r. 1895 pewna towarzyszka (Adela Gerhardt) uczyniła nieśmiałą próbę zainteresowania partji socjaldemokratycznej ruchem współdzielczym, wskazując na otrzymane przezeń w Anglji i Belgji rezultaty, świadczące o niewątpliwym postępie społecznym, odpowiedziano jej, że partja nic nie chce wiedzieć o takich próbach „przerzucenia mostu nad wewnętrzną sprzecznością, jaka istnieje pomiędzy kooperacją, a socjaldemokracją, jako partją proletarjacką". Oficjalny organ partji Vorwärts (z 8 Września 1895) wypowiada z tego powodu niesłychanie charakterystyczne zdanie, że „nie może być zadaniem partji wojującej kształcenie kierowników i oficjalistów dla przemysłu, których w przyszłości wytworzymy sobie na modłę socjalistyczną". Przyszłość nie ma być przygotowywana w teraźniejszości. Partja, która chce objąć produkcję, nie ma sobie przygotowywać zawczasu kierowników tej produkcji, lecz winna jedynie hodować cnoty wojenne. Cnoty wojenne! — ależ tu chodzi przecież o bierną nienawiść. To też „Vorwärts" zaraz potym dodaje „przed klasą robotniczą leży jedna jedyna droga — droga otwartej politycznej walki klasowej, absorbującej całego człowieka". Droga otwartej politycznej walki klasowej — to znaczy tajne głosowanie do parlamentu niemieckiego, który jest instytucją doradczą w państwie despotycznym. Zastrzega się przytym, aby ta czynność absorbowała całego człowieka, t. j., aby robotnik przejęty jej ważnością nie dawał posłuchu żadnym „bredniom drobno-mieszczańskim", nie wypróbowywał żadnych „eksperymentów doktrynerskich", bo mógłby się w ten sposób wyślizgnąć z żelaznej łapy prowodyrów partyjnych.

„O, filuterne błazny, co samych siebie tumani-

---

nas prawdami swymi obdarzyć. On—*daleki jeszcze od tak pojętej przyrody*—poczynał swe myśli tylko w sobie, aby nimi właśnie obdarzyć i ożywić świat, który go otaczał. Był bardziej ludzkim, bardziej sobą, bardziej *antropomorficznym*... Jego myśli, jego pojęcia nie oderwały się jeszcze od jego istoty całkowitej, aby istnieć na pozór samodzielnie, luźnie, po za nim.

Pomiędzy nim a jego pojęciem o sobie nie utworzyła się jeszcze przepaść pozorów. To też nie był zmuszony *szukać siebie, dążyć do siebie*. Był sobą odrazu... I w tem—jego żywiołowość, jego konkretność, jego całokształtność. W tym wreszcie—jego antropomorfizm, jako zasada niepodzielności ducha i ciała, myśli i człowieka, który tę myśl, jako ciąg dalszy swej istoty cielesnej, tworzy. Zasada zdobywania wszechświata w obrębie dostępnego nam, ludzkiego kształtu, który, jako niewód, zarzucony w nieskończoność, wyławia z niej to tylko, co jest nam najbliższe, najbezpośredniej nas dotyczące. Swiatopogląd antropomorficzny jest światopoglądem najpierwotniejszym. Bóg, z takiego światopoglądu wyłoniony, jest przedłużeniem w nieskończoność, rozrostem w błękity istoty ludzkiej, która wszechświat poznaje *zaborczo*, nadając mu własne swoje prawa i odnajdując w nim obraz i podobieństwo swoje. Aby ten obraz i podobieństwo odnaleźć, trzeba być jeszcze w najbezpośredniejszym do wszechświata stosunku, trzeba czuć żywiołowo niezerwane jeszcze węzły pokrewieństwa. Trzeba nawpół tylko, albo i wcale nie odróżniać boga od człowieka, idei twórczej od dzieła, które dzięki niej powstało. Człowiek pierwotny jest jakoby mieszańcem nieba i ziemi, smokiem przedpotopowym, którego tułów nawpół ludzki, a nawpół jeszcze boski, pozwala mu, jednocześnie w dwóch światach przebywając, pozostać najbliższym ziemi i niebu, sobie i bogu, ciału i duszy.

Gdy z biegiem czasu nastąpi w nim podział świadomościowy tych dwóch pierwiastków, gdy utraci swój raj na ziemi, nieraz zatęskni do kształtu owego smoka o podwójnym tułowiu, do bogaczłowieka, do zejścia boga na ziemię, wielbiąc i czcząc tym sposobem siebie samego w kategorjach minionego istnienia. Tak rozumiana wiara w boga jest wciąż jeszcze kultem przodków w zacisznym cieniu wielkiego drzewa gienealogicznego całej ludzkości. Życie idejowe, pomimo zmian społecznych, przebywa wciąż jeszcze w dawnym stanie patryarchatu lub matryarchatu, na tle wyznaczonego rodowodu tworząc w swoich niebiosach Rodzinę świętą.

Zdawałoby się, iż myśl ludzka albo się wcale nie liczy ze zmianami życia społecznego, albo też każdy okres historyczny rozszerza w czasie i zolbrzymia w przestrzeni. Jeżeli znajdziemy obok niej inne, bar-

cie!" woła Müller (str. 47) pod adresem ortodoksów niemieckich. Cóż tu powiedzieć o naszych ortodoksach, o tych wszystkich Różach Luxemburg, Warskich, Radkach, Truskierach, o tych „Młotach" do wbijania głupoty w mózgi niedojrzałe? Ci są jeszcze filuterniejsi, bo kiedy cały świat już mówi o kooperatywie, oni o niej milczą, wiedząc doskonale, że to, co dziś ze swego stanowiska mogą o niej powiedzieć, jutro będą sami musieli uznać za głupstwo. Tak przezornym nawet *Dziennik Powszechny* nie bywa, bo choć karci różne herezje katolickie, które się dzieją na świecie, ale bądź co bądź podaje do wiadomości ich istnienie.

Wielką herezję socjalistyczną — reformizm — nasi ortodoksi starali się z początku przemilczeć, potym zbagatelizować, wreszcie zgnieść osobiście ludzi, którzy ją chcieli przeszczepić na nasz grunt, a przedewszystkim i za wszelką cenę odsunąć ich od wpływu na masy. Jednak zagranicą, pomimo używania przez ortodoksję analogicznych środków repressyjnych — reformizm wysunął się na czoło socjalizmu.

Otóż reformizm — ta trzecia faza socjalizmu, która w cywilizowanej Europie wyrugowała ortodoksyjny marksizm, i nawiązała nici z pierwotnym asocjacjonizmem — całkiem inaczej określił swój stosunek do kooperatywy. Kooperatywa zostaje uznaną przez socjalizm. Dzieje się to jednak stopniowo. Uznanie bezwzględne zostaje poprzedzone przez uznanie względne. Fazę względnego uznania kooperatywy przechodzi Belgja. U nas, jeżeli jaki „lewicowiec" ma odwagę mówić o kooperatywie, to wybiera zawsze belgijską. Jest to kooperatywa partyjna, socjalistyczna, zależna, słowem „wzorowa". Ten przykład zawsze stawia się przed oczy trybunałom ortodoksyjnym, aby wybłagać łaskawszy wyrok na kooperatywę. Otóż Müller rozwiewa legendę o wyższości kooperatywy partyjnie-socjalistycznej nad bezpartyjną (neutralną). Zestawiając rezultaty otrzymane przez słynną brukselską kooperatywę socjalistyczną „Maison du Peuple" z rezultatem bezpartyjnego stowarzyszenia w Bazylei, dochodzi do przekonania, że pierwsza „nie daje brukselskim robotnikom nawet połowy tego, co pod względem ekonomicznym i społecznym otrzymuje ludność robotnicza od bazylejskiego stowarzyszenia spożywczego". Na kongresie Kopenhagskim Müller był świadkiem postępu swojej idei. Belgijczyk Anseele, broniący kooperatywy partyjnie-socjalistycznej miał przeciwko sobie delegatów z innych krajów. Helies'a z Francji i von Elm'a z *Niemiec*, którzy, pomimo tego, że są socjalistami, bo rzecz dzieje się w sekcji kooperatywnej kongresu socjalistycznego, — zajadle bronili kooperatywy bezpartyjnej. Staje się jasnym, że socjalizm kooperatywy nie polega bynajmniej na jej nazwie, a na tym, że kooperatywa wprowadza w życie nowe zasady gospodarki zbiorowej, przeciwstawiające się gospodarce prywatno-kapitalistycznej. Kooperatywa partyjnie-socjalistyczna nie jest socjalistyczną, gdyż organizuje nie wszystkich spożywców, lecz tylko niektórych o określonej barwie politycznej, gdyż przez sekciarskie bronienie czystości wiary i odsuwanie „czystych" od „nieczystych" hamuje działanie nowej anty-kapitalistycznej, kollektywnej, demokratycznej zasady ekonomicznej. Nie nazwa stanowi o socjalizmie danej kooperatywy, lecz: podział zysków w stosunku do zakupów, przelewanie części zysków na zakładanie nowych przedsiębiorstw kooperatywnych, przyjmowanie nowych członków bez żadnych ograniczeń i na prawach członków-założycieli. Ponieważ kooperatywa partyjnie-socjalistyczna ogranicza przyjmowanie nowych członków, więc nie jest tworzeniem socjalizmu, jest sekciarską robotą polityków, niezdolną do wpłynięcia na przeobrażenie ustroju społecznego, o co właśnie chodzi socjalistom.

Tak rozumuje Müller w swojej książce, w tym duchu zbijali w Kopenhadze wywody Anseelego przedstawiciele Niemiec, Francji i — oczywiście — Anglji. O nieużyteczności kooperatyw nie śmiał już nikt mówić.

Jerzy Kurnatowski.

Nadbaltycka „Chełmszczyzna".

Fatalistyczna siła tkwiąca w pewnych procesach dziejowych przybiera niekiedy postać tego, co Niemcy nazywają „die Fluch der bösen That" — i sprawia, że fałsz sam się obala przez swe własne konsekwencje. Posługiwanie się bez wyboru wszelką bronią dla gnębienia i niszczenia ujarzmionego narodu, doprowadza czasem do tego, że broń łamie się w ręku i rani nie tego, w którego była wymierzoną,

---

dziej z życiem społecznym liczące się kierunki idejowe, to, w każdym razie, musimy stwierdzić ten fakt, iż myśl taka, rozszerzona w czasie i zolbrzymiona w przestrzeni, jest koniecznym warunkiem równowagi idejowej danego okresu historycznego.

Niekoniecznie ma to być myśl religijna. Chcemy tylko powiedzieć, że każdy okres historyczny obok myśli ostatnich, bieżących, ściśle spojonych z wymogami życia współczesnego, posiada jeszcze myśl niewspółczesną, napozór opóźnioną i nieruchomą, dla której obcym jest dzień dzisiejszy, a który kiedyś ten pominięty przez nią na razie dzień, rozszerzy w czasie i przestrzeni, aby go, jak to później zobaczymy, z dziedziny *naturae naturantis* przenieść do dziedziny *naturae naturatae.*

Ta myśl jest zawsze myślą człowieka pierwotniejszego, który przez czas długi „mieszka między nami"... *Nasz* człowiek pierwotny, który nic niema wspólnego z człowiekiem dzikim lub zdziczałym, odznacza się właśnie większym stopniem uduchowienia i uzdolnień metafizycznych.

O ile my, dzięki metodom naukowym, sami dla siebie staliśmy się eksperymentem, zadaniem do rozwiązania i rozchwiani na tysiące przypuszczeń i domysłów, dążymy do tego, aby na nowo stać się sobą, o tyle on—nie rozchwiany, nie przeobrażony w zagadnienie, pragnął właśnie przestać być sobą, powrócić do wszechświata, który go wyłonił, pogrążyć się w nirwanie To pragnienie było—pragnieniem szczęścia, było jego *optymizmem.* Dla nas jest to pessymizm. My uczuciowo, dzięki długiemu poznawaniu przyrody, daleko panteistyczniejsi od niego, odwracamy się od tego rodzaju *czynów panteistycznych*, któreby nas, cośmy siebie kędyś zatracili, zmuszały do wyrzeczenia się siebie samych i wszelkich ku temu poszukiwań. On—z krwi i kości teista, pragnie właśnie takich czynów, pragnie wyrzeczenia się siebie i wie dokładnie, czego i jak ma się wyrzekać! Jego optymizm wydaje się nam pessymizmem, jego czynność, bezczynnością, jego zapał—obojętnością, wreszcie jego ruchliwość—znieruchomieniem.

Nasza myśl biegnie w ograniczonym czasie i w określonej przestrzeni. Ta określoność i ograniczoność stanowi nawet bieżący punkt naszego realistycznego honoru... Jego zaś myśl rozpanasza się w czasie rozszerzonym i w zolbrzymionej przestrzeni, nie licząc się ze zmianami życia społecznego i karcąc to życie piętnem kastowości. Jest on mniej obywatelem, a bardziej człowiekiem, okazem ludzkim, przedstawicielem gatunku. Jego indywidualizm jest indywidualizmem gatunkowym. Jego pierwotność i żywiołowość polega właśnie na niewiedzy o tem, że istnieją inne prawa,

lecz w tego, który mierzył, a zakładanie wilczych dołów kończy się niekiedy tak, że wpada w nie ten, kto je zakładał.

Tak we własną pułapkę przyskrzynił się hakatyzm na baltyckim Pomorzu.

Metoda niemiecka, naśladowana — jak wiemy — i we wschodniej Europie, — domaga się przystosowania nauki do celów politycznych.

Znamy oddawna historję, gieografję, etnografję, lingwistykę a nawet filozofję niemiecką, stosowaną do politycznej spekulacji, — w szczególności do hakatyzmu. Jednym z naczelnych wskazań tego kierunku jest odkrywanie na obszarach ziem polskich, ile możności, jak najróżnorodniejszych grup etnicznych dla zmniejszenia do ostatecznego minimum w statystycznych wykazach liczby ludności czysto polskiej. Z tego powodu mazurów i kaszubów, tak jak dawniej górnoślązaków, uznano za całkiem odrębne narody. We wszelkich urzędowych wykazach powtarzały się też rubryki: „mazurisch", kaschubisch" w odróżnieniu od „polnisch".

Zupełnie niezależnie od tego oficjalnego separatyzmu rozwijał się na Pomorzu Baltyckim samorodny ruch kaszubski, kolejno zmieniający swe zabarwienie i przeobrażający się w ostatnim czasie w tak zwany ruch „młodo kaszubski", którego wyrazem jest czasopismo *Gryf*, redagowane w czystej polszczyźnie, lecz poświęcone wyłącznie Kaszubom. Separatyzm młodo-kaszubów nietylko nie zwraca się przeciw polskości, lecz przeciwnie — szuka z nią łączności i na niej się opiera, co jest w znacznej mierze wynikiem szczególniejszego rodzaju opieki, jakiej ze strony Niemców doznaje.

Ci ostatni bowiem nie mogli się zdobyć na logiczne konsekwencje swych teoretycznych przesłanek i wyłączając Kaszubów z jedności polskiej, nie wyłączyli ich bynajmniej z antypolskich represji.

„Już ustawą o osadnictwie — pisze *Gryf* — postarano się zadokumentować, że uważa się ich za Polaków. Kiedy Kaszuba w pow. kościerskim lub kartuskim chciał postawić nową chałupę, tak samo mu na ognisko własne pozwolenia nie dano, jak chłopu w chełmińskim lub na Kujawach. W wozie mieszkalnym chował rodzinę nietylko Drzymała lecz i Pepliński".

Kiedy wyszła ustawa o wywłaszczeniu, żaden Kaszuba nie łudził się, by w tym wypadku landrat i każdy inny przedstawiciel rządu nie miał go uważać za Polaka.

Ponieważ więc praktyka z teorją się kłóci, teorja staje się bezsilną, a wspólność niedoli budzi i wzmacnia wśród nadbaltyckiego ludu poczucie solidarności z Polakami.

„Czemu — skoro nie jestem Polakiem, nie pozwalacie mi postawić chałupy na własnym gruncie", pyta Kaszuba nauczyciela, gdy mu ten przekłada, że ani on, ani jego dziecko do Polaków zaliczać się nie mają prawa.

Nie tu kończą się zawikłania i kłopoty hakatystów. Trzeba im było Kaszubów, którzyby nietylko nie byli Polakami, lecz którzyby dla antypolskiej polityki stanowili oparcie, t. j. przyznawali się do łączności z Niemcami. Ponieważ takich typów natura nie daje, trzeba je było stworzyć; ukuto zatym teorję, że Niemcy, na Kaszubach mieszkający, są Kaszubami.

Dla spopularyzowania tej fikcji napisano nawet i wydrukowano powieść „Kaschuben", gdzie w roli Kaszubów występują pruscy landraci i komisarze dystryktowi. (Niczem p. „Połusztannikow" z *Muchy*, który dla szybkiego rozmnożenia prawosławnych na Chełmszczyźnie sprowadza „bezrobotnych sachar morożnych" z Kaługi i Wiatki).

Łatwiej było jednak tę fikcję przelać na kartki powieści, niż z drukowanej bibuły przenieść na grunt rzeczywisty.

Niemcy wprawdzie tak się bogacą w ludność, że odkomenderowanie jakich paru miljonów do kaszubskiego regimentu nie uczyniłoby im wielkiego uszczerbku, ale trudno byłoby wytrwać w tej komedjowej roli. Zresztą istnieje przecież i w Niemczech jakaś bezpartyjna, nieoficjalna, niezależna nauka, której wszechgienialny „instrument boski" nie zdążył dotąd ze szczętem wytępić.

I oto utworzyło się wśród Prusaków, na Kaszubach mieszkających, stowarzyszenie naukowe, poświęcone ludoznawstwu kaszubskiemu, pod nazwą „Verein für kaschubische Volkskunde". Zajęło się ono poważnie i całkiem objektywnie badaniem ludu kaszubskiego, zgromadziło dużo cennego materjału naukowego, zjednało sobie powagę wśród niemieckich i wśród polskich kół inteligientnych zawiązało nawet przyjazne, koleżeńskie stosunki z polskimi ludoznawcami, skupiającymi się w koło redakcji *Gryfa*.

Zachodnio-pruscy hakatyści, czyli odkomenderowani Kaszubi, zrazu radośnie powitali towarzystwo, sądząc, że stanie się ono ogniskiem fabrykacji urzędowych Kaszubów, placówką pseudo-naukowego hakatyzmu. To też gremjalnie zapisywali się do tej organi-

---

prócz praw ludzkich, i inni bogowie, prócz tych, co są do ludzi podobni.

Tak pojęta żywiołowość, pierwotność—jest swobodnym i nie zakwestjonowanym wypełnieniem funkcji biologicznej, zwanej człowiekiem. Wszelkie uchybienie tej zasadzie, głęboko antropomorficznej, wszelkie zubożenie lub powściągnięcie tej funkcji twórczej, mającej tendencję do rozrastania się w kategorję powszechną, wszechogarniającą, wszelka jej nabyta w drodze walki z innymi, wrogimi żywiołami, zastosowawczość lub ustępczość—jest z jej własnego stanowiska abstrakcją.

O ile antropomorfizm, w powierzchownym tego słowa znaczeniu, stosowany do badania przyrody jest zaślepieniem i przeszkodą, o tyle, pojmowany funkcjonalnie, jest nieodpartym i nieuniknionym warunkiem wszelkiej twórczości ludzkiej, która dąży nietylko do poznania przyrody, lecz i do władztwa nad nią, nietylko do przepojenia się i przesycenia jej prawami, lecz i do narzucenia jej praw własnych. Poznanie, jako cel, wyłącza antropomorfizm. Ten zaś ostatni, z poznania czyniąc środek, na nowo zyskuje rację bytu.

W życiu społecznym, antropomorfizm jest zasadą najbezpośredniejszą i najzdrowszą, zasadą, która właśnie podporządkowuje wszelki ustrój człowiekowi, jako źródłu tego ustroju, jako funkcji twórczej, która dla swego nieustannego rozwoju wymaga nieustannej warunków ustrojowych zmiany, lub też zredukowania ich do minimum, znieruchomienia, naprzykład, w martwych karbach kastowości, aby przejść ponad nimi do „porządku twórczego".

O ile człowiek, jako jednostka twórcza, jako nieustająca nigdy funkcja biologiczna, może i musi przebywać w dziedzinie *naturae naturantis*, żyjąc tym, co się dopiero tworzy, to znaczy sobą, wiecznie siebie nowego głodnym, *jak żóraw, z szyją w przyszłość wyciągniętą*,—o tyle życie zbiorowe, w którym liczba, pozyskując treść *rzeczywistą* i stając się konkretem, wymaga dla swoich działań matematycznych zwolnionego lub raczej powstrzymanego czasu, życie—powtarzam zbiorowe musi się utwierdzić na zasadach maksymalnie stałych, niezmiennych oraz sprawdzonych, wypróbowanych, to znaczy—już stworzonych. Tę właśnie dziedzinę zwolnionego lub powstrzymanego czasu nazywamy *natura naturata*.

(C. D. N.)

zacji, lecz rozczarowali się niezmiernie szybko. Jeden z tych zawiedzionych entuzjastów „ludoznawstwa kaszubskiego" wystosował do zarządu list z zapytaniem, „jakie stanowisko zajmuje towarzystwo wobec agitacji wielko-polskiej?", na co otrzymał odpowiedź, że „towarzystwo, jako ściśle naukowe, polityką wcale się nie zajmuje".

Oburzenie urzędowych Kaszubów zamanifestowało się ich gremjalnym wystąpieniem i naganką na stowarzyszenie celem rozbicia go lub zamienienia na filję „Ostmarkenvereinu". Na dorocznym zebraniu zachodnio-pruskiego odłamu tego związku wytoczono mnóstwo zarzutów przeciw znienawidzonemu towarzystwu, odmawiano mu naukowego znaczenia, przypisywano cele propagandy i t. p.

„Nie wątpimy też na chwilę — pisze *Gryf* — że dni Towarzystwa dla ludoznawstwa kaszubskiego są policzone, a bardzo prawdopobnym jest, że wszystkim osobom zależnym od rządu zakaże się pielęgnowania ludoznawstwa kaszubskiego".

Zupełnie słusznie wysnuwa stąd wniosek, że hakatyzm jest siłą antykulturalną i zadaje kłam dumnym słowom cesarza: „Deutschtum ist Kultur". „Fakt ten stawia nas w roli obrońców kultury i jest jednym więcej dowodem słuszności naszej sprawy".

Ciekawe analogje narzucają się same przez się. Nieszczera obrona Kaszubów przed agitacją wielkopolską, a Rusinów chełmskich przed polonizacją—wywołują te same komplikacje: opór ludności rdzennej przeciw nieproszonej opiece lub konieczność sprowadzania na jej miejsce takich pupilów, którzyby się jej chętnie poddawali.

Naprzód fałszowanie etnografji na papierze, potym — wiele kosztowniejsze — przeróbki rzeczywiste, kończące się politycznym fiaskiem.

I. M.

Angielskie „Trades Unions" w 1908 r.

W „The Board of Trade Labour Gazette" świeżo opublikowano najnowsze dane, dotyczące organizacji zawodowej angielskich robotników.

W ostatnim 10-leciu rozwój „Trades Unions"'ów przedstawia się, jak następuje.

Lata	Liczba członków w końcu roku
1899	1,849,999
1900	1 957,499
1901	1,969,119
1902	1,955,659
1903	1,933,615
1904	1,898,154
1905	1,923,350
1906	2,117,083
1907	2,411,856
1908	2,378,248

Charakterystyczny jest olbrzymi przyrost w 1907 roku (około 300 tys.). W roku 1908 widzimy zupełnie naturalną małą (około 33 tys.) falę powrotną. Liczba robotnic—członków „Trades Unions"'ów stanowiła w końcu 1908 r. 205,782 czyli 8,6 proc. ogólnej liczby członków i w porównaniu z końcem 1907 roku dość znacznie wzrosła. Przeważnie zorganizowane robotnice zatrudnione są w przemyśle bawełnianym „Lankashire'u".

Niżej przytaczamy liczbę zorganizowanych robotników angielskich według główniejszych gałęzi przemysłu w pięcioleciu 1904 — 1908:

Gałęzie przemysłu	1904	1905	1906	1907	1908
Budowlana	225,169	205,199	196,512	193,210	177,553
Górnicza	501,790	496,851	571,374	703,355	717,995
Metalowa	334,837	340,389	361,645	377,007	365,942
Włóknista	249,047	268,842	305,400	357,201	362,213
Koleje żelazne	76,999	82,605	102,085	138,887	118,713
Inne gałęzie	510,321	529,464	580,067	641,996	635,829
Razem	1,898,154	1,923,350	2,117,083	2,411,856	2,378,248

Największa liczba zorganizowanych przypada na grupę górniczą, gdzie widzimy około $^1/_3$ ogólnej liczby członków „Trades Unions"'ów, dalej idą przemysł włóknisty i metalowy — w każdym z tych ostatnich mamy około $^1/_6$ ogólnej liczby zorganizowanych robotników Charakterystycznym jest, iż przy ogólnym wzroście liczby zorganizowanych we wszystkich gałęziach przemysłu, w branży budowlanej zmniejsza się ona stale. Zmniejszenie to dało się też zauważyć i w pięcioleciu 1899—1903, a mianowicie z 250 tys. w 1899 roku do 238 tys. 1903 roku.

Na zakończenie przytaczamy dane o stanie kasowym 100 ważniejszych „Trades Unions"'ów, jednoczących około 60 proc. ogólnej liczby członków wszystkich 1,165 „Trades Unions"'ów:

Lata		1904	1905	1906	1907	1908
Liczba członków 100 trades unions'ów		1,199	1,214	1,298	1,458	1,433
Wpływy	Ogółem w tys. rb.	20,008	20,926	22,174	23,584	25,864
	W rublach na jednego członka	16,7	17,2	17,1	16,2	18,2
Wydatki	Ogółem w tys. rb.	19,431	19,535	18,532	20,341	30,281
	W rublach na jednego członka	16,2	20,8	14,3	13,3	21,1
Kapitały	Ogółem w tys. rb.	44,140	45,531	49,183	53,335	48,908
	W rublach na jednego członka	36,8	37,5	37,9	36,6	34,1

100 najbogatszych w świecie związków zawodowych robotniczych liczyło w swoich kasach w końcu 1908 roku 48,908 tys. rb.; suma ta jest niższą od rekordowej — 53,335 tys. rb. w końcu 1907 roku. Zmniejszenie się należy tłumaczyć dużymi wydatkami w ciągu 1908 roku, związanymi z wielką ilością pozbawionych pracy z powodu kryzysu, jak również z licznymi strajkami odpornymi w metalowym i włóknistym przemyśle.

K. Komarowski.

NA DOBIE.

Etyka religijna i moralność świecka.

Kiedy ktoś, kając się głośno za swoje grzechy, uderza w piersi... cudze, jestto bardzo wygodny i łatwy sposób skruchy. Stosują go z powodzeniem wszelkie zespoły religijne. To też nasza prasa świątobliwa demaskuje bardzo gorliwie nadużycia kleru... w Rosji, tudzież pokpiwa z praktyk cadyków i rabinów po różnych Pacanowach. Ze swej strony pierwszy lepszy diakon czy protojerej prawi z namaszczeniem i zgrozą o zbrodniach rzymskiego katolicyzmu, a *Frajnt* żargonowy strofuje Stolicę Apostolską za fanatyzm.

Ten specyficzny „postęp” lokuje się rad na nieswoich gruntach. Wszyscy obskurni szalbierze mają go... na eksport.

Właściwe kryterjum postępowe ma jedną tylko miarę; stosuje ją do wszystkich, a zwłaszcza do *swoich.*

I oto widzimy, że środowisko, co nas otacza, cierpi na nadmiar cnót religijnych, na straszny zanik zwyczajnej, świeckiej etyki.

Cnoty bowiem religijne kwitną w zamkniętych zespołach, pośród *wybranych* Co wśród wyznawców jednej sekty uchodzi za cnotę, to samo w przyległej kaplicy karane jest jako grzech.

I niemasz etyki powszechnej, wspólnej, w atmosferze cnót religijnych. Jak miłą jest ta atmosfera świadczy następujący wypadek.

We wsi Hucisko, gminy krasnobrodzkiej w pow. zamojskim, uciekła z domu panna Ruchla Weltznerówna, którą ukryto w Zamościu przed fanatyzmem tłuszczy żydowskiej, ponieważ postanowiła przyjąć chrzest. Ojciec panny, świadom cnót religijnych, podał skargę do sądu, że córka go okradła. Pannę uwięziono i sądzono w Józefowie, gdzie wybieg wyszedł na jaw. „Sprytnego” ojca odprawiono z kwitkiem i z religijną cnotą. Wypadek ściągnął do miasta tłumy żydów i chrześcian, nastrojonych tak „religijnie”, że można było oczekiwać przelewu krwi. Oto budujący obraz stosunków, opartych na etyce religijnej.

Ten obraz blednie wobec ogromu metodycznych bezeceństw, jakie działy się, dzieją i będą się działy w Chełmszczyźnie pod wezwaniem Chrystusa i pod płaszczem religji. Gdyby zebrać i zsegregować różne czyny pobożnych misjonarzy — wzniesiono by takie sterty błota, takie piramidy zbrodni, że np. bezbożny Francuz, z cnót religijnych doszczętnie wyzuty, dostałby na ich widok neurastenii lub ostrego szaleństwa.

Bo na Zachodzie ludzie odwykli cokolwiek od cnót teologicznych i poczynają uprawiać cnoty cywilne. Takowe znów nie cieszą się u nas popularnością, to też ogół nie ma nic przeciwko temu, że gmin, judzony przez księży, napada po wsiach na Marjawitów, zaś inteligiencja ziemiańska, co ma lud uszlachetniać i podnosić, tropi zwolenników „sekty” i wyświeca ich *stante pede* ze swych majątków, rzucając rodziny całe na głód i poniewierkę.

Dwie miary.

Jeśli ktoś w życiu potocznym stosuje jedną miarę do siebie, a drugą do innych, to ten ktoś praktykuje świadome fałszerstwo, powiedzmy łagodnie: nierówność.

Ale w życiu społecznym ogół nasz nietylko toleruje, lecz pochwala podwójny wymiar etyki i wiedzy.

Zarówno bowiem etykę, jak wiedzę, każemy sobie podawać w księgach Spencera i Höffdinga... Gmin po dawnemu ma... dziesięcioro przykazań.

I ta nierówność nas nie razi, owszem—zachwyca.

Oto p. Stefan Gorski, redaktor *Dnia* woła z patosem: „Jestem demokratą do szpiku kości. Nie uznaję różnic stanowych. Lubię mieć do czynienia równy z równymi. Mogę jeździć w zwierzęta, ale lubię rozmawiać z ludźmi. Do ludzi tymczasem dziś cywilizacja zalicza nie takich, co mają dwoje nóg i umiejętność gadania, ale takich, co czytają książki i gazety, pracują, nie kradną, są obywatelami.

Tego wszystkiego, niestety, o lwiej części chłopów naszych nie da się powiedzieć. To ciemna jeszcze część, chciwa, brudna i głupia. Nie bawmy się w frazesy!”

Wybornie! Ale kiedy ludowcy i wolni myściciele, nie bawiąc się w frazesy, wyciągnęli do chłopa ręce, mówiąc mu: stań do szeregu, równy z równymi! — wówczas p. Gorski woła: Rata! „Osłabiają tu powagę wiary, a cóż wzamian dają? Etykę? Ależ chłop tej etyki czytać nie będzie, bo ciemny. Zresztą, *dziesięcioro przykazań więcej jest warte niż tomy Spencerów*”.

Krótko i węzłowato. P. Gorski nie bawi się w frazesy. P. Gorski ma głos! Słuchajcież, bo choć nie jest p. Gorski gienjuszem, ależ zawsze przemawia przezeń miarodajna i szanowna przeciętność. I oto zamyka problem kultury ludowej w zatęchły *circulus vitiosus* bez wyjścia...

Cudotwórcy.

Jakie się działy cuda w Średniowieczu, gdy cnoty religijne chodziły luzem po świecie, o tym prawi Giovanni-Boccacio w dwuch tomach *Dekameronu.* Że jednak nastroje *à la Boccacio* tułają się tu, wśród nas, w zaraniu XX wieku, na to niewielu zwraca należną uwagę.

A przecież godzien jest uwagi choćby ów żydowski cudotwórca, który w Tykocinie wypędzał djabła do piekła zupełnie na sposób Boccacia. Przyjezdny ten „cadyk”, obeznawszy się z miejscowymi stosunkami, wyjechał do karczmy, położonej o 3 wiorsty pod miastem, gdzie wobec właścicielki dokonał „cudu”, albowiem „zgadł”, że ma ona ojca i piękną siostrę w mieście. Zarazem oświadczył, że tę siostrę opętał niewidzialny duch nieczysty, który trzeba z niej „wypędzić”. Młodą żydówkę sprowadzono tedy na wieś do cadyka, aby tu w ciszy dokonał „wypędzenia djabła”. Cudotwórca zamknął się na czas dłuższy z dziewczyną, dotychczas zdrową zupełnie; zastano ją zemdloną i chorą... Cudotwórca ulotnił się...

Na szerszą skalę od bezimiennego cadyka poczyna sobie „świątobliwy starzec”, głośny dziś w Rosji Rasputin-Nowych, słynący „cudami” w sferach pięknych i próżniaczych histeryczek-dewotek. Świętego starca pono się djabeł okropnie boi, bo go Rasputin wciąż „zapędza do piekła”...

Podobny odór cudowności szerzy dokoła swej osoby słynny dygnitarz duchowny, *protojerej* Wostorgow. Ten w zapasach z djabłem dobiera sobie do pomocy głównie nieletnie gimnazistki...

Podobnie jaskrawych typów i wydarzeń nie zna już Zachodnia Europa, gdzie fetor świętobliwości znacznie złagodniał i bodaj zanika zupełnie, ku rozpaczy p. Teodora Jeske-Choińskiego. Jednakoż kościół katolicki, główny rozsadnik zabobonów, coraz wypierany z krajów oświeconych, przenosi swe święte kramy na Wschód, w kraje ciemniejsze, głównie chłopstwem zaludnione, czyli pogańskie (*paganus*—po łacinie wieśniak). Jak niegdyś kalchasi greccy czynili grzmot,

beczkę z kamieniami tocząc, tak dziś Watykan przetacza ku Wschodowi swe cudowne aparaty, jak świadczy o tym notatka w jednym z pobożnych dzienników tej treści: „Jak donoszą z Lublany, niedawno osiedlili się w dolnej krainie OO. Kartuzi, wypędzeni z Francji. Zakonnicy przywieźli ze sobą statuę Matki Boskiej, słynącej cudami. Wkróce rozeszła się wieść po okolicy, że statua cudowną posiada moc i podążyły tam liczne procesje".

Jeśli „złoty wiek rycerstwa" przeminął bezpowrotnie, to niewątpliwie trwa do dziś w pewnych krajach złotodajny wiek cudów.

Na tropie szatana.

W Połańcu w gub. Radomskiej—donoszą pisma, rabin rządzi jak w wiekach średnich. Ułożył stos i spalił na nim książki, które mu się nie podobają, wyrzucił z bethamidrasza pewnego młodzieńca za to, że czytał podobną książkę. Gdy pewna chrześcianka brała ślub, a dziewczyny żydowskie patrzyły na tę ceremonię, rabin ogłosił: „Wobec takiego grzechu w mieście, rozkazuję: 1) wszyscy żydzi muszą pościć jeden dzień na pokutę, 2) żydówki—mężatki muszą zgolić głowy... 5) rękawy bluzek muszą być długie do palców (*NB.* ten przepis jest przypomnieniem uchwał zjazdu rabinów przy ul. Gnojnej); 6) nie wolno patrzeć na kobietę ani zbliżyć się do niej na 4 łokcie (!) 7) gdy kto zobaczy u kogo książkę świecką, musi o tym donieść rabinowi..."

W tym samym atoli czasie, kiedy rabin Połaniecki wślad na Sanhedrynem warszawskim wymierzał długość damskich rękawów, zdarzyło się, że papież potępił solennie modne dziś suknie „spętane", zamykając przed nimi wrota kościelne i drzwi konfesjonałów... Tedy, piękne panie, miejcie na uwadze, że nietyle grzeszyć wam będzie trudno, ile rozgrzeszenie uzyskać... Co prawda, Watykan naraził się i tu na *fiasco*, bo w tej materji nie papież, lecz pp. Paquin i Worth z *rue de la Paix* bezwzględne ferują wyroki. I okazać się może, że Paryż raz jeszcze rzymskie zakusy odeprze, bo tamtejsi koryfeusze mody miewają czysto świeckie natchnienia.

L. B.

Dla „pilnych".

W ostatnich czasach urzędnicy poczty i telegrafu coraz częściej zwracają się do naczelników okręgów z podaniami o podwyższenie płacy. „Ponieważ prośby takie podawane są we wszystkich okręgach", więc naczelnikom okręgów polecono zawiadomić petentów, iż starania te pozostaną bez skutku. Natomiast zwierzchnicy sami będą sami przedstawiali *pilnych* urzędników do podwyższenia im pensji w granicach posiadanych na to funduszów.

Taka wielce charakterystyczna wiadomość pojawiła się świeżo w pismach. W ciągu ostatnich paru dziesięcioleci warunki życia zmieniły się do niepoznania. Ceny mieszkań i wszelkich najważniejszych artykułów w życiu codziennym wzrosły w czwórnasób; wpisy nawet w zakładach rządowych podwoiły się. Tylko pensje urzędników poczty i telegrafu pozostały niezmienne w ciągu tych paru dziesięcioleci. W tym samym okresie mniej więcej dwudziestoletnim instytucje pocztowo-telegraficzne w obrębie całego państwa rozwinęły się olbrzymio i przynoszą ogromny dochód skarbowi. Z każdym rokiem dochód ten rośnie widocznie coraz bardziej; tylko pensje pracowników nie rosną wcale. Przeciwnie — są one tak śmiesznie małe, że niepodobna przypuścić, ażeby taki urzędnik niższego stopnia mógł się wyżywić z tego źródła. A jednak ci ludzie mają żony i dzieci. Z jakiego źródła czerpią oni środki na utrzymanie rodziny, na naukę dziatwy? Ratują się oczywiście zarobkami pobocznymi, które im pochłaniają tę niewielką ilość godzin wolnych, a przeznaczonych na pożywienie i sen. Ci, którzy nie mogą znaleźć zarobków dodatkowych lub których żony nie pracują ciężko, ratują się pożyczkami u lichwiarzy i brną aż do katastrofy. Rezultatem zaś tego są coraz częściej podawane w pismach wiadomości o nadużyciach urzędników pocztowych. Jest to najoczywistszy rezultat oszczędności. Nie dość tego: widzimy coraz większą dążność do oszczędności w innym kierunku: Pomimo wzrostu ruchu na pocztach i w telegrafach, personel wcale nie jest powiększany i urzędnicy muszą pracować nad siły. Obarczani są przytym coraz bardziej obowiązkami dodatkowymi, jak przyjmowanie prenumeraty, przyjmowanie i wydawanie pieniędzy w pocztowych kasach oszczędności i t. d. Kiedy zaś obecnie przyciśnięci ostatecznością, pod wpływem strasznej drożyzny, widma głodu i nędzy, odważyli się robić podania w sposób najlegalniejszy o podwyżkę płacy, odpowiedziano im wręcz na to, że prośby te nie będą uwzględnione, *ponieważ są podawane we wszystkich okręgach.* Najwidoczniej uważano tu za karygodną tę okoliczność, że prośby „są podawane we wszystkich okręgach". Widmo z niedalekiej przeszłości stanęło przed oczami zwierzchniczej biurokracji i wytworzyło w jej mniemaniu przestępstwo, zorganizowane z prostego przypadku, który wyrósł z powszechnego braku środków do życia śród pracowników przeciężonych i licho płatnych. Postanowiono więc widmo odpędzić i wystąpienie urzędników o podwyżkę stłumić odrazu za pomocą starego, wypróbowanego środka: nagrody i kary. Podwyżka, czyli prawo do możności uniknienia śmierci głodowej, przysługiwać będzie tylko *pilnym.* Mniej pilni, ale niemniej przepracowani, mogą sobie radzić jak chcą w dalszym ciągu. I znowu wynurzył się niezachwiany, odwieczny system, jak wbita w dno rzeki kłoda, o którą się rozdzierają statki i tratwy, płynące za prądem.

BADANIA NAUKOWE.

Jezus a historycy.

(Ciąg dalszy).

II.

Krzątający się na niecco rozleglejszym polu zagadnień umysł ludzki musiał stawić sobie pytanie, czy religja „prawdziwa" istotnie powstać mogła dopiero wraz z chrześcijaństwem, czy też szukać jej należy właściwie wszędzie, we wszystkich kulturach, we wszystkich czasach i u wszystkich narodów. I oto mędrzec angielski Dawid Hume swojem, około 1751 roku napisanym dziełkiem „Natural history of Religion" inauguruje okres badań porównawczych nad religjami, torując drogę takim mistrzom naszej już młodości, jak Edward B. Tylor (Cywilizacja pierwotna, badania rozwoju mitologji, filozoji, wiary, mowy, sztuki i zwyczajów, przekład Z. Kowerskiej, wydawnictwo „Głosu") lub mistrzom naszego wieku męskiego, jak I. G. Frazer w dziele „Golden Bough".

Zazwyczaj od Dawida Hume przechodzi się do Kanta i jego ogłoszonej w roku 1793 pracy „Religion innerhalb der Grenzen der blossen Vernunft". Jest to kardynalny błąd, a popełniali go metafizycy, którzy niby to obracali się istotnie w granicach „der blossen Vernunft", ale właściwie nie umieli się jeszcze całkowicie oderwać od kruchty i jej tradycji. Dawid Hume właśnie tym był, który się nie obracał tylko w granicach „der blossen Vernunft", ale, mówiąc o religjach, umiał zbierać obserwacje, zestawiać je i wysnuwać z nich wnioski. To też istotnymi następcami jego byli Volney (Les ruines, 1791) a zwłaszcza Du-

puis, którego dzieło pomnikowe i do dziś nader wartościowe „Origine de tous les cultes ou religion universelle“ ukazało się w roku 1795 i nową już inauguruje epokę. Dupuis z całej egiptologji posługiwał się jedynie pracą naszego znakomitego ziomka Jabłońskiego (Pantheon Aegyptiorum, 1750—1752). Hieroglify nie były jeszcze odczytane, pył pustynny pokrywał jeszcze kliny assyryjskie. A jednak bajeczna znajomość literatury greckiej i łacińskiej wystarczyła gienjalnemu badaczowi, by zestawić mógł krytycznie stare kulty Adonisa, Attisa, Mitry, Ozyrysa, Dyonizosa z kultem chrześcijańskim. Jako astronom wyprzedził o sto lat belgijskiego badacza Franza Cumonta, orjentując się doskonale w mitach gwiaździarskich i w subtelnej przędzy astrologów starożytnych. Wtajemniczywszy się w mit słoneczny o Heraklesie, poznawszy poemat Nonnusa o bóstwie astralnm (Dionysiaca), Panyasisa (Heraklea), wertował Strabona, Pausaniasa, Macrobiusa. Przekonał się, że słynne dwanaście robót Herkulesa da się odczytać w fantastycznych wizerunkach gwiazdozbiorów. Że to samo dzieje się z Dyonizosem. Przeczytawszy pierwsze rozdziały ewangielji Mateusza i wziąwszy do ręki mapę nieba z północy 25 grudnia, postrzegł, że także historja narodzin Zbawiciela Mateuszowego da się odczytać na niebie. Oto właśnie na wschodzie ukazała się konstelacja Panny. Trzy gwiazdy z świetnego Pasa Orjona, zwane Trzema Królami, zjawiają się na zachodzie i pytają, gdzie ma się narodzić nowy zbawiciel świata (nowe słońce, słońce noworoczne), albowiem widzieli jego gwiazdę na wschodzie (konstelacja Panny). Gdy to słyszy Smok, symbolizujący Heroda, wbiega za Panną na niebo, zaś z drugiej strony Baranek, symbolizujący Jezusa, kryje się pod widnokrąg, czyli ucieka do Egiptu. Więcej Dupuis nie mógł był zrobić, gdyż więcej wtedy nie dało się zrobić. Ale to, co zrobił, zrobił dobrze, gruntownie, w trzech olbrzymich tomach in quarto, dołączając do tego atlas. Mity astralne zostały dobyte z pod pyłu wieków i światu nowemu przypomniane. Wspólne źródło pochodzenia wszystkich religji zostało w zarysach głównych ukazane. A przecież jeszcze nic nie słyszano o totemizmie, animizmie, fetyszyzmie. Dupuis wywarł wpływ wielki na swoje pokolenie. Dopiero po jego śmierci i po gwałtownej zmianie warunków politycznych badania jego zostały najpierw wyśmiane (przez księdza Pérèsa, oratorjanina) a następnie prawie zupełnie zapomniane. Zdaje się, że Strauss i Renan wcale dzieł jego nie znali.

Drugim badaczem, który sprawę podjął w ten sposób, był Nork, hebraista i talmudysta. Prace jego „Biblische Mythologie“ (1842—1843), „Rabbinische Quellen und Parallelen zu neutestamentlichen Schriftstellen“ (1839), „Braminen und Rabbinen“ (1836), są zakrojone na szeroką skalę. Nork daje także duży materjał porównawczy do historji „Słów Pana”.

Teraz właściwie należałoby streścić, co zrobiła mitologja od Andrewa Langa aż do obecnej „Biblioteki mitologicznej”, wydawanej przez Siecke'go, Boecklena, Wincklera i innych. Należałoby streścić wszystkie zdobycze egiptologji, assyrjologji, indologji. Należałoby zreferować badania Masperów, Delitzschów, Jensenów, Cumontów, słowem, wyniki całego szeregu poszczególnych nauk, które razem nazywają się naukami orjentalistycznymi. Należałoby wykazać, jak wygląda historja żydów, pisana jeszcze przez Graetza, a jak wygląda ta sama historja, pisana przez Hugona Wincklera. Prachrześcijaństwo na tle tych badań ukazuje się jako część zrosła silnie z całością, jako ogniwo w łańcuchu. Rudolf Seydel ukazuje dowodnie, że pomiędzy historją Jezusa a historją Buddy istnieje uderzające podobieństwo. Jensen ten sam materjał odkrywa w babilońskim eposie Gilgamesz. Badania tekstów wykazują, że kult Mithry i kult Chrystusa różnią się między sobą raczej jak dwa wyznania, a nie jak dwie religje, aczkolwiek kult Mithry jest bardziej „azjatycki”. Czytając Stary Testament, widzimy namacalnie, że w Jerozolimie kwitł ongi kult umęczonego Syna Bożego (Adonisa, Pana, Tamuza) oraz Królowej Niebios (Melechet ha-szamaim). Że tam od wieków „niewiasty płakały” nad Panem. Wyobrażenia nasze o rzekomym monodeizmie starożytnych żydów silnym ulegają modyfikacjom. Póki panowali tam królowie, póty właściwie jednobóstwa wcale nie było. Schneider w „Memnonie” wykazuje, że w świątyni Salomona stał... posąg Jehowy! W innym też świetle ukazuje się nam historja dogmatów chrześcijańskich. Wiara w Trójcę była rozpowszechniona na całym Wschodzie. Chrzest istniał od tysiącoloci. Już Dupuis wskazywał na tożsamość Jana Chrzciciela z babilońskim Oannesem, znanym nam z Berossusa, którego liczne wizerunki możemy oglądać w wielkim leksykonie Roschera. Hochart kreśli szkic do historji krucyfiksu. W rzekomym monogramie Chrystusa Flinders Petrie rozpoznaje znak bożka Horusa. Vellay pokazuje nam zmarłego Adonisa na kolanach bogini-matki zupełnie tak, jak widzimy Jezusa i Marję na słynnej „Pietà” Michała Anioła w bazylice Piotrowej w Rzymie. Ucieczka Izydy z Horusem na osiołku, reprodukowana z fresku pompejańskiego w wielkim dykcjonarzu Daremberga i Saglio, niczem się nie różni od obrazków, zdobiących ściany prawowiernych chrześcijan, a mających za temat ucieczkę do Egiptu na osiołku Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Jeżeli dziś papież ma pierścień Rybaka, to Robert Eisler wykazuje, że kapłani Apolina w Azji Mniejszej zwali się „świętymi rybakami”. Kur Piotrów jest bóstwem czujności u Persów. Dwunastu Apostołów zbiega się z dwunastoma pokoleniami, z dwunastoma miesiącami roku a wreszcie z dwunastoma konstelacjami Pasa Zwierzyńcowego. Eryk Bischoff wyławia całą astrologję z Talmudu, Jeremias ustala zodjak żydowski, wedle którego dwanaście pokoleń Izraela świetną miało reprezentację w dwunastu konstelacjach Pasa Zwierzyńcowego. Ewolucjonizm ogarnia nietylko świat organiczny, ale także idealny świat bóstw. Z czczonego baranka tworzy się bóstwo człekokształtne, przez pół człowiek a przez pół baranek, dostaje się na niebo jako konstelacja, wraca na ziemię z aureolą, staje się całkiem człowiekiem, a baranka ma już tylko albo na plecach, albo obok siebie, staje się wreszcie pojęciem oderwanym, czyli duchem, ale wciąż jeszcze w okolicy porównania wiosennego wizerunek baranka pojawia się na naszych stołach i wciąż jeszcze usta nasze szepcą: „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata...”

Śród tej lawiny faktów, która toczy się i coraz większe przybiera rozmiary, brakło jednak następujących: jeżeli nie było człowieka Jezusa, to co w takim razie było? Praca analityczna nie mogła zaspokoić umysłów: brakło syntezy. Dlatego też mimo owej lawiny faktów mało było uczonych, którzy zdecydowali się na wniosek ostateczny; ci właściwie odwrócili tezę Renana: gdy on kwestjonował bóstwo Jezasa, oni zakwestjonowali jego człowieczeństwo. Czynił to Kalthoff, bardziej retorycznie niż źródłowo. W zakresie szczupłym, ale za to nadzwyczaj wyczerpującym uczynił to amerykański profesor William Benjamin Smith w swej książce po niemiecku wydanej p. t. „Der vorchristliche Jesus”. Czynili to wreszcie inni, jak np. Robertson Smith. Przed rokiem jednak profesor niemiecki Artur Drews, zebrawszy studja innych i uzupełniwszy je własnymi, wywołał w Niemczech wielką wrzawę swoją książką „Die Christusmythe“, która już się ukazała w wydaniu czwartym. Ale nie poprzestał na tym. Pod egidą Związku Monistów zaczął urządzać wieczory dyskusyjne. To dopiero wyprowadziło z równowagi teologów niemieckich. O ile dyskusja berlińska miała przebieg wysoce kulturalny, o tyle w niektórych innych miastach przybierała charakter burzliwy. Niesłychanie brutal-

nie wystąpił przeciwko Drewsowi Gunkel na wieczorze dyskusyjnym w Darmstadt. Nie mniej brutalnie wystąpił przeciw Drewsowi Harnack w „Neue Freie Presse“. Jak pierwej o Williamie Benjaminie Smith wołano urągliwie „eh, to matematyk“, tak teraz o Arturze Drews „eh, to filozof“. Powstała literatura polemiczna, która z prasy perjodycznej przeniosła się do broszur, z broszur do rozpraw a obecnie mamy już kilka grubych dzieł (Niemcy piszą grube dzieła bardzo prędko, a może tylko w przygotowane wplatają temat aktualny).

Tak mniej więcej przedstawia się w zarysach bardzo szkicowych historja zagadnienia i materjał do tych zagadnień. Te same burze, które chciały zmieść Renana i Straussa, kwestjonujących bóstwo Jezusa, dziś grożą zmieceniem Drewsowi, Smithowi i innym za kwestjonowanie człowieczeństwa Jezusowego. Analogja rażąca: w obu wypadkach burza. A jednak, powtarzam, nie o to chodzi, jak brzmi twierdzenie ostateczne, ale jak wygląda materjał, który je popiera. I tu jest chwila, w której mogę przejść do autoreferatu, by wykazać, jakim ze swej strony poparłem rzecz materjałem. Książka moja w części pierwszej daje nowe teorje, w części drugiej nowe fakty. Że zaś wszelkie teorje zawsze mniejszą mają wagę od faktów, przeto pominę część pierwszą a zastanowię się tylko nad drugą. Aby jednak nie streszczać rozdziału za rozdziałem i wykładać tylko materjał w należytym i już uporządkowanym ładzie, pozwolę sobie przedstawić szanownym czytelnikom całą historję szczególnego odkrycia, jakie mi się udało zrobić, i wtajemniczyć ich w sam proces tego faktu, aby przy tej sposobności zapoznali się z metodą, która w danym wypadku jest i najważniejsza i najciekawsza. Sąd zaś o słuszności i trafności muszę naturalnie pozostawić innym.

(d. n.). *Andrzej Niemojewski.*

LITERATURA i SZTUKA.

Janka Kupała: **Adwiecznaja pieśnia** u XII-ci projawach Pieciarburh, 1910.

Lud białoruski nigdy nie miał i nie ma swojej literatury. Stworzyła ją inteligiencja polska. Jest to więc wytwór sztuczny, w znacznej większości nie odzwierciadlający ani duszy tego ludu, ani jego zwyczajów, nawyknień, tradycji, przesądów, ani nawet ducha jego mowy. W dobie porewolucyjnej powstało w Wilnie pismo białoruskie, które dziś nosi tytuł: *Nasza Niwa*. Jednocześnie pojawiły się wydawnictwa broszurowe o charakterze agitacyjnym, mające na celu uświadomienie owego ludu w duchu jego odrębności narodowej. Pojawiły się także utwory poetyckie, tendencyjne, poniekąd także o charakterze agitacyjnym. To jest właśnie dzisiejsza literatura białoruska.

Dawniej po białorusku usiłowali pisywać nasi poeci, zrodzeni i wychowani śród tego ludu. Pisał (ale nie drukował) Syrokomla. Pisał mało znany, lecz niepospolicie utalentowany Niesłuchowski, zmarły przed kilkunastu laty, o którym wiedzieć będą przynajmniej historycy literatury, dzięki jego przyjaciołom, którzy wydali zbiór jego poezji polskich. Niesłuchowski, zżyty z ludem od kolebki, może najlepiej poznał jego duszę i dzięki temu poezje białoruskie tego pisarza dźwięczą nutą szczerą, pełne są prostoty i prawdy. Dla tego można byłoby śmiało Niesłuchowskiego zaliczyć do prawdziwych poetów białoruskich.[1])

[1]) Przed laty kilkunastu *Prawda* drukowała jeden utwór Niesłuchowskiego: „Na podsłuchy“ (Polowanie na głuszcza).

Syrokomla pisał po białorusku tendencyjnie, o czym świadczy jeden jego wiersz, podyktowany mi przez jego serdecznego druha, Wincentego Korotyńskiego. W formie utwór to piękny, napisany językiem nieskażonym, wypowiada ulubioną Syrokomli ideę: łączności szlachty polskiej z ludem białoruskim, wolnym i równym:

...„Hodzi wam, łodzi u jasnoj kareci,
Hodzi, panoczki, zajeżdżać u dwor.
Hodzi wam, hodzi, mużyckije dzieci,
Z chatki astatki dawać na pabor.
I pańskija dzieci, i chamskaja jucha
Z adnoj kwaterki papiwajuć miód
I prysiahnuli na wich da abucha
Być sabie wolny i roŭny narod.

. . . .

Jak treba dumać a hramadzkoj sprawie,
Na adno miesce jak braty pryszli,
Mużyk i szlachcic zasiaduć na ławie
I radziać radu a swajej ziemli...

. . . .

Ruczyś rukoju, chudoba u chacie,
Pany mużyckich sloz nie zabieruć.
Mużyk i szlachcic staŭ za panie bracie,
Ruki za ruki i brudzi za brudź.
Pierom na karcie, sachoju na niwie
Adzin druhoma roŭność zaścieroh.
Ej, u swabodzie zażywiom szczaśliwie,
My budziem dzietki a nasz backa — Boh“.

Tak marzył Syrokomla i w takiej formie wypowiadał swoje idee społeczne. Gdy hasłem Zygmunta Krasińskiego było: „Z szlachtą polską polski lud“, Syrokomla marzył o takiej jedności, tylko na gruncie bardziej demokratycznym, szlachty polskiej z ludem białoruskim.

Dziś w literaturze białoruskiej, a raczej w literaturze *dla białorusinów*, nie pozostało ani cienia takich idei i aspiracji. Pod hasłem, jak rzekliśmy, uświadomienia odrębności narodowej i emancypacji społeczno-politycznej literatura ta powstała i rozwija się w dalszym ciągu, drukowana zaś jest czcionkami łacińskimi i rosyjskimi, ponieważ pewna część białorusinów w Wileńskiem i Grodzieńskiem zna litery polskie, dalej zaś — tylko rosyjskie.

Janka Kupała już puścił w świat kilka swoich utworów. Ten zaś, który mamy obecnie pod ręką: „Adwiecznaja pieśnia“ („Pieśń odwieczna“) drukowany jest czcionkami rosyjskimi (wydawnictwo Hryniewicza w Petersburgu). Sama naiwność budowy utworu, jego forma, świadczy, że autor usiłował pochwycić formę utworów ludowych. Nie bardzo mu się jednak to udało.

Pieśń odwieczna, to jest niedola chłopa, towarzysząca mu od kolebki do mogiły. Na tym tle mogłaby powstać piękna rzecz, gdyby autor mógł użyć do jej budowy duszy chłopskiej. Niestety! tendencja poprowadziła go na manowce i — powstał utwór naiwnie melodramatyczny. Całe życie chłopa, od kolebki do mogiły — to jeden zgrzyt, jeden jęk i płacz. Od kolebki do grobu kraczą nad nim różne kruki — duchy: Życie, Dola, Bieda, Wiosna, Lato, Jesień, Zima. Autor ani na chwilę nie pozwala temu biednemu chłopu zapomnieć, że on jest najnieszczęśliwszym pod słońcem, że jego praca na roli — to ciężkie roboty skazańca. Nawet w uroczyste święta nie daje mu spokoju i przysyła do niego egzekutorów podatkowych i poborców zboża magazynowego. Chłop taki, który od dzieciństwa nie zaznał ani jednego błysku nieba pogodnego, musi zginąć tragicznie. To też ginie w zimie, przywalony drzewem ściętym. Ale kruki—duchy nie dają mu i po śmierci spokoju. Na grób jego przychodzą: Bieda, Głód, Chłód, Dola, Życie i opowiadają mu straszne rzeczy o jego synach: jeden, jak on ciężko orze i karczmą duszę rozwesela, drugiego ssie tęsknota na obczyźnie, warta przy trzecim stoi, czwarty padł

ofiarą prawdy i krzywdy chłopskiej, piątemu maszyna rękę odcięła, więc żebraniną rodzinę żywi. To też nic dziwnego, że nieboszczyk, nasłuchawszy się takich okropnych rzeczy, woła:

„Niemiło mi słuchać, niemiło
Tych wieści z niw moich i chat.
Rozstąp się na nowo, mogiło:
Straszniejsi są ludzie i świat“.

Pieśni ludu białoruskiego są tęskne i smutne; w nich się odzwierciadla dusza chłopska i ten kraj smutny, pełen moczarów, bagnisk, lasów, pól ubogich. Ale w tych pieśniach jest prawda i życie. Smutek i płacz w utworze Janka Kupały jest robiony:

Jak u służki schodziuć lety —
ŭ pastucha,
Pytaj, maci, ptaszki hetaj —
Kaniucha.
Zapytajsia hetaj chmary —
Hetych sloz,
Hetaj kwietki na papary —
Hetych łoz.
Hetaj hruszy sierod pola
I bałot.

To mówi nie pastuszek, to inteligient, który wlazł w jego skórę.

Gdy mi zaśpiewa dziewczyna wiośniankę, pełną łez i bezbrzeżnego smutku, gdy chłop zaśpiewa o swojej doli, przemawia przez tę pieśń dusza chłopska rzeczywista, przemawia istotnie *pieśń odwieczna* doli tego ludu. Ale pomimo to, chłop ten, wychodząc na pole ze swoją sochą pierwotną i wołami chudymi lub z kosą na łąki, nie rozpacza, nie uważa tej pracy za ciężkie roboty, a nawet umie zaśpiewać wesołą piosenkę o trzech Wasilach, albo: „Za harodom wieczer woje, tam Miekita żyta sieje“. Co więcej — w przysłowiach swoich jest optymistą i pomimo niepewnego położenia daje przestrogę dzieciom: „U darohu wybirajsia, a żyta siej.“

Pocóż mu psuć to źródło, z którego płynie siła i hart? Po co mu pod postacią utworów rymowanych rzucać w oczy płachtę jego nędzy, przypominać o podatkach, długach, suszach, nieurodzajach? Przecież on ma tego po same uszy w rzeczywistości:

Kroŭ i pot ljesz,
Zaliwajeszsia;
ŭsiudy Boh haściŭ
I swajej łaskaju,
Tolki kryŭ, minuŭ
Niwu chamskuju.

Czyż nie lepiej było zamiast tych łez sztucznych, dać mu broszurę popularną o nawozach sztucznych? Czy nie lepiej dać wskazówki, jak się organizują ko operatywy chłopskie? Jak sobie radzi chłop np. duński?

Nie wszędzie można z powodzeniem wsadzać programy emancypacyjne a najtrudniej je przeprowadzać za pomocą utworów rymowanych.

Ujemną stroną utworu Janka Kupały, jak wogóle tego rodzaju literatury, jest każenie języka białoruskiego i wprowadzenie bądź polonizmów, bądź rusycyzmów. Tylko chłop, który spędził całe życie we dworze polskim, może mówić: *najdaskanalszy*. Takiego wyrazu białorusin w swojej czystej mowie potocznej nie zna, jak również nie zna wyrażenia: *wyhlad nieprytulny*. Tylko żołnierz, który świeżo wrócił ze służby wojskowej w głębi Rosji, może przez pewien czas używać wyrazów: *razdolje* i *priwietliwa*; wprowadzenie zaś ich do literatury białoruskiej jest rzeczą wielce naganną.

Zenon Pietkiewicz.

Aleksander Bolesław Brzostowski: **Ci, których znałem.** Garść luźnych wspomnień, opisów, wrażeń. Bibljoteka Dzieł Wyborowych. Warszawa, str. 130.

Przedmową swoją autor w zupełności rozbraja czytelnika, powstrzymuje od wygłoszenia surowego sądu, oświadczając na wstępie, iż nie rości sobie żadnych pretensji co do wartości literackiej swej pracy, choćby jako „sylwetek“ omawianych poetów, przyznając jej charakter czysto osobistych wrażeń i wspomnień. Taką jest istotnie książka p. Brzostowskiego.

Z różnych względów stosunki autora z Kornelem Ujejskim i Sewerynem Goszczyńskim — jak to sam zaznacza — nie mogły być ani zbyt poufałe, ani zbyt ścisłe. Odbija się to wyraźnie w kolorycie opowiadania. Na tle epizodów z koleżeńskiego życia autora ukazują się te postaci nie w aureoli swej wielkości, promieniującej bezpośrednio, rzucając choćby odblask swej wielkości na stronice książki, lecz w aureoli swego sławnego imienia, otoczone czcią, pjetyzmem opowiadającego. I prócz dobroci, uprzejmości, w stosunkach osobistych, żaden ich rys nie został uwydatniony. Ten sposób przedstawiania wielkich mężów, nie pogłębiający ich, nie uwydatniający bezpośrednio duchowej aureoli, nie może przyczynić się do obudzenia w życiu pokolenia tęsknoty za wielkością. Uwielbienie i pjetyzm same przez się wystarczyć nie mogą.

Opowiadanie ożywia się, staje się barwniejszym, gdy autor dzieli się wspomnieniami o Władysławie Ordonie, z którym łączyły go stosunki bliższe, zażyłe. Postać Ordona wyrasta żywa i czytelnik ma możność żywszego uczuciowego reagowania.

Trudno również kwestjonować zdanie p. Brzostowskiego o poemacie Ordona „pocałunek“ (p. Brzostowski uważa go za arcydzieło), urywkowo zamieszczonym w książce, — zdanie, noszące wszelkie cechy osobistego wrażenia.

Wł. G.

Wrażenia teatralne.

„Koncert“ sztuka w 3 aktach, przez Hermana Bahra.

W sztuce Bahra, świeżo przedstawionej w Teatrze Letnim, poruszano tak zupełnie nową i nie zużytą w komedjach i farsach sprawę, jak wiarołomstwa, i rozstrzygnięto—dowcipnie. Nie kazano zabijać ani jej, ani jego, ani obojga, lecz skazano winnych surowiej, bo na pozostanie i trwanie w małżeństwie.

Takie rozwiązanie ułatwił sobie autor, gdyż starzejący się lowelas, znakomity pianista, z setkami serc niewieścich, uwieszonych na każdym włosku długiej czupryny, zmęczony podróżą w samochodzie i wędrówką z ukochaną w górach do chaty leśnej, posiadł ją tylko duchowo, bo może zmęczenie, może brak przedsiębiorczości, wreszcie przyjazd męża uwiedzionej wraz z żoną pianisty przeszkodził na razie dalszym następstwom. Na figurę kontredansową, zmianę dam, zaproponowaną przez doktora Jurę, pokrzywdzonego małżonka, nie chce się zgodzić przedewszystkim uwodziciel. Za dobrze mu z żoną, która dogadza wszelkim jego kaprysom, traktuje jak dorosłe dziecko pieszczone, i przymyka oczy na wyjazdy w góry na tak zwany koncert, nie zawsze przerwany dysonansem. Nie chce już tego i pani Jurowa, która w niespełna rok po ślubie uległa własnej egzaltacji i czarowi uderzenia pianisty, lecz szybko się zraziła do filistra—mężczyzny i chętnie wraca do męża, który zabiera żonę, bo widzi, że nowy marjaż nie da jej szczęścia. A żona pianisty, to uosobienie niewieściego wdzięku, wyrozumiałości i troskliwości prawie macierzyńskiej dla swego dziecka, starzejącego się męża, przebacza mu

pod warunkiem, że już nie będzie więcej takich koncertów i widzi, że go znowu w ostatniej scenie uwodzi jedna z egzaltowanych uczenic. Tę treść, prawie z farsy, pogłębiono przez dodanie kilku błyskotliwych frazesów, kilku fajerwerkowych dowcipów, więc śmieje się z tej „nowej" tezy widz, i śmieje się z niej życie, bo wie, że tak, czy owak w komedji rozwiązana, nie będzie ona wbrew orzeczeniom autora kwestją prawa własności, przeniesioną z rzeczy na osoby, lecz sprawą uczuć zawiedzionych i obok śmiechu patrzących zdala. niejedną łzę wyciśnie zainteresowanym zbliska.

Wykonanie tej zręcznej komedji było na ogół dobre.

Ułatwione miał zadanie p. K. Kamiński w roli doktora Jury. Jest to rola tak bogato uposażona przez autora w błyskotliwy dowcip, w fajerwerkowe paradoksy, że gra sama za siebie. Kamiński dodał do tych danych autora mnóstwo szczegółów własnych, nie zawsze zresztą zgodnych z intencją autora.

Jego doktór Jura, biorący podług autora kobiety swą młodością, był nieco za stary, jąkał się i zapominał, przeciągał djalog, zwłaszcza w akcie pierwszym najlepszym w sztuce, i choć zmuszał do podziwu swych zasobów i sztuczek aktorskich, choć zdumiewał drobiazgowym opracowaniem i umiejętnym używaniem tych sposobów, w końcu jednak nużył subtelniejszego widza, tem bardziej, że w samej sztuce akcja po 1-ym akcie słabnie coraz bardziej.

Jest to widać własnością tego artysty, że nie siebie podnosi i wciela w rolę, lecz, przeciwnie, rolę ściąga i wtłacza w swoje ramy, w sposoby, którymi rozporządza. Przez zamiłowanie do typów patologicznych, wyposaża, wbrew wskazówkom, nieraz wypływającym ze sztuki, swoje postacie w szczegóły, zjednywające oklaski i podziw niewybrednego widza, lecz jednak nielogiczne w danej sztuce. W „Sąsiadce", naprzykład, ptak niebieski, mający tupet i powodzenie u kobiet, jest w interpretacji Kamińskiego komicznym krótkowidzem i połamańcem, a młody, pełen werwy, doktór Jura z „Koncertu" jest jąkającym się, starym i prawie psychopatą. Tak postawione postacie podobają się widzom niewybrednym wskutek ich komizmu, są znakomicie przez Kamińskiego utrzymane i wykończone w szczegółach, co wszystko razem zbliża się wprawdzie do szczytów aktorstwa, choć jest dalekie od szczytów artyzmu.

Za to na szczytach artyzmu była postać, odtworzona przez panią Ludową. Jest to na naszej scenie wśród personelu kobiecego jedyna może przedstawicielka prawdziwie wykwintnej gry salonowej i dykcji szlachetnej. A tyle niewieściego uroku, tyle słodkiej wyrozumiałości dla błędów męzkich, tyle owianej smutkiem miłości dla tego dziecka—męża biło z całej postaci, że wielka artystka nietylko zmuszała do oklasków dłonie słuchaczów, lecz ciągnęła ku sobie ich serca.

Owerło w dużej roli pianisty — lowelasa nie wykrzesał ani liryzmu,ani iskier humoru, złożonych w niej przez autora. Cała postać była twarda, nieszczera, pogmatwana w rysunku, rażąca brakiem subtelności. W roli tej powinniśmy byli widzieć Wolskiego lub Kamińskiego, który swoją rolę mógł oddać każdemu innemu zdolnemu artyście.

Pani Lorentzowa była doskonałą, jako zakochana młodsza, pani Sulima stylowo wyglądała w roli ratującej mistrza z sideł zapalnej, dobrze granej przez p. Lubicz-Sarnowską, doktorowej; p. Wilczyński i pani Michałowska dobrze wykonali niewielkie swe role.

A teraz znowu kilka słów do kierownictwa.

Wystawienie sztuki Bahara aż na dwóch scenach w Warszawie, uważamy za niesłuszne, gdyż nie da się to usprawiedliwić wyjątkową wartością sztuki samej, a na wystawienie arcydzieł literatury naszej i obcej czekamy zbyt długo, żeby po długim oczekiwaniu ujrzeć na scenie rzecz źle wyreżyserowaną, lub słabo graną, bo wadliwie obsadzoną. Nie obchodzi nas, czy sztuka będzie kasową, czy nie. Nas, publiczność płacącą i kochającą naszą sztukę, nic nie obchodzą plotki, że to, co się dzieje, dzieje się po za plecami kierownictwa literackiego. Nie posiada ono widocznie u nas warunków istnienia, lub też dostatecznego hartu, jeżeli pozwala na frymarkę sztuką, za którą dopóki kierownictwo literackie istnieje, ono jedynie odpowiada przed społeczeństwem. Wystawianie sztuki tylko dla reżyserów i ich przyjaciół dzieje się ze szkodą dla sztuki, dla publiczności, i dla aktorów. Nie widujemy na scenie przez całe miesiące Frenkla, tego bezspornie najlepszego dziś artystę polskiego z najbogatszym repertuarem. Nie widujemy Knake-Zawadzkiego, Rolanda, Nowickiego, Marcello-Palińskiej, Przybyłko-Potockiej i wielu innych. Pozbawiono nas wielkiego i subtelnego talentu Siennickiej. Ale zaroiło się od ładnych, mniej lub więcej uzdolnionych statystek na scenie i tak już przepełnionej nieużytkami, gwarno od intryg, protekcji i protekcyjek, w których zaprzepaszczają sztukę i zniechęcają talenty. Obłudna i ckliwa deklamacja o miłości dla sztuki nas nie przekonają: to, co się dzieje obecnie, jest tylko miłością do korzystnych stanowisk i walką osobistości, niestety, z coraz większym pogrążaniem kultury artystycznej wśród publiczności i z ujmą dla sztuki u nas.

Stanisław Czerski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Kultura Polska* we wstępnym artykule zeszytu wrześniowego wypowiada bardzo trafne uwagi o obecnym położeniu ludu roboczego, o jego brakach i potrzebach.

> Żadna partja nie ma ani siły, ani liczby. Skutkiem tego, ogromna większość robotników stoi dziś poza wszelką organizacją i kierownictwem politycznym. Ze stanowiska kulturalnego, na którym wyłącznie stoimy, nie uważalibyśmy tego za szkodę, gdyby nasz lud roboczy grupował się w związkach, służących jego potrzebom ekonomicznym i umysłowym, umożliwiającym mu obronę interesów i podnoszenie poziomu kultury. Ale — niestety — stowarzyszenia tego rodzaju, zawsze bardzo nieliczne, bądź zostały rozwiązane, bądź wiodą żywot suchotniczy! Setki tysięcy proletarjatu pozostają tedy w ciemnocie, upośledzeniu społecznym i niezaradności, którą zaledwie przerywają rzadkimi wybuchami rozpaczliwego oporu lub szalonego gniewu. Pominąwszy wyjątki, które w sądzeniu spraw ogólnych ważą mało, wszyscy, którzy nie potrzebują zakrywać prawdy dworowaniem lub spekulacyjną rachubą,przyznać muszą, że nasi robotnicy w rozwoju umysłowym i moralnym stoją o wiele stopni niżej od swych towarzyszów zagranicznych, że dla tego, jako klasa społeczna, nie mogą zdobyć się na systematyczną i trwałą obronę swych praw wobec przemocy kapitału, że w swej nieświadomości i żywiołowej pobudliwości łatwo ulegają najniedorzeczniejszym podnietom, iż ich obecna bezplanowa walka z okrutnym samolubstwem i żarłocznym wyzyskiem nie stwarza dla nich kształcącej i uszlachetniającej szkoły. Słowem, nieszczęśliwy ten lud jest sam przez się bezradny i bezsilny.
>
> Otwiera się przeto szerokie pole pracy nad jego kulturą.
>
> Zaledwie drobna cząstka naszego proletarjatu jest rzeczywiście „uświadomiona"; jego większość nie stanowi wcale tego materjału, z któregoby można wytwarzać organizacje klasowe, na wzór niemieckich lub francuskich. Będą one bowiem ciągle, jak były dotąd, płodami agitacyjnymi

o słabej mocy, krótkim trwaniu i małej odporności, ale zato wielkiej pochopności do gwałtownego rzucania się na oślep i zapadania w martwotę po porażce!

Autor, widząc, że obecna chwila jest właśnie dobą takiej martwoty, wzywa do podźwignięcia z apatji klasy robotniczej, przez rozbudzenie wśród niej pragnienia wiedzy i oświaty, godności ludzkiej i wiary we własne swe siły.

A spełniać to zadanie winniśmy na ich własny rachunek nie na rachunek żadnego stronnictwa.

Jak we wszystkich stosunkach z ludem, podobnie w tej sprawie, winniśmy dać mu wszystko, co dać możemy i w zamian niczego nie żądać. Niech on sam stanowi o sobie, a my tylko powiemy mu, ażeby zdolny był to uczynić.

* Wspominaliśmy już na tym miejscu o liście otwartym do redaktora *Zarania*, umieszczonym przez p. Wincentego Szeliskiego w *Słowie* oraz o znakomitej odpowiedzi Marji Biniekówny w *Zaraniu* p. t. *Nieludźmy się*. Obecnie dopiero w Nr. 419 drukuje *Słowo* obszerną odpowiedź pana Malinowskiego, wraz z repliką pana Szeliskiego.

Ciekawa ta dyskusja dotycząca najważniejszych zagadnień naszego społecznego życia zasługuje na bliższą uwagę.

Pan Malinowski zaznacza, że nie łudzi się nadzieją zjednania przeciwników, chce jedynie stanowisko swoje wyjaśnić tym, którzy zamierzają z *Zaraniem* walczyć *uczciwie*, do nich zalicza więc *Słowo* i pana Szeliskiego.

Najprzód tedy hasło „sami sobie" tak się tłumaczy:

Nie o jednostronne, lecz ogólne zalety ludu chodzi. Dążymy do urobienia nie poszczególnych chłopów na energicznych, sprężystych i rzutkich *sobków*, lecz właśnie do wytępienia tego sobkostwa, do urobienia naszego ludu w zwartą warstwę, świadomą swego społecznego położenia i praw, a wytrwale, umiejętnie i samodzielnie działającą i pracującą — nad poprawą swego—a zatym i Narodu losu.

„W życiu społecznym niema filantropji" — pisze pan Malinowski, zatym „żadna *warstwa* sama przez się losem ludu się nie zajmie".

Może należałoby tutaj jeszcze dodać jedną uwagę: W życiu społecznym filantropja — nawet gdy jest szczera i bezinteresowną, daje bardzo marne i chybione rezultaty, bo albo darzy korzyściami, których obdarzani ocenić i przyswoić sobie nie umieją, nie będąc do nich przygotowani, albo pomija najżywotniejsze potrzeby, gdyż ich z zewnątrz sama odkryć nie umie. Każdy sam tylko wie, gdzie i co mu dolega: każdy jest dostatecznie dojrzały do korzystania z tych tylko praw, które sam zdobywa. To też słusznie mówi *Zaranie* do ludu: „nikt nie może być twym dobrodziejem; sam jesteś kowalem swego losu".

Dalej pisze pan M.:

Zaranie nigdy nie pragnęło stawiać muru chińskiego między ludem wiejskim a innymi warstwami, a nie czyniło tego w świadomości, że bądź to ich współdziałanie, bądź ich ścieranie się, składa się na rozwój społeczny.

Zaranie nigdy nie odmawiało poszczególnym jednostkom z inteligiencji, ziemiaństwa lub księży prawa pracy wśród ludu i dla ludu. Przeciwnie, poczuwało się ono do obowiązku podnoszenia z uznaniem wszelkich *dobrych* objawów tej pracy. Około *Zarania* grupuje się dalej niemały zastęp inteligiencji miejskiej i ziemiańskiej i jego to w bardzo znacznym stopniu zasługą jest widoczne rozszerzenie się wpływu *Zarania*. Praca jednak tego zastępu, jak i samego *Zarania*, ma znaczenie *pomocnicze*, z tą ich pomocą lud powinien sam swe w społeczeństwie zadania rozwiązywać.

O listach chłopów i stale się w nich powtarzających skargach na księży mówi:

Prosimy p. Szeliskiego o wstąpienie do naszej redakcji, aby się przekonał, że listy drukowane są nader drobną cząstką nadsyłanych. Więc nie mają one charakteru lokalnego, lecz są przejawem stosunków nienormalnych i dlatego je tak chciwie czytają. Ten protest nie *Zaranie* stwarza; jest on głosem ludu. To ani taktyka, ani stronniczość, ani tendencyjność według rozumowania p. Szeliskiego; to drgające życie.

Pan Malinowski dziwi się, że p. Szeliski jako „człowiek trzeźwo patrzący na świat i liczący się z rzeczywistością" może wierzyć, że u nas parafianie znajdują sprawiedliwość u wyższej władzy duchownej. „My tych złudzeń nie podzielamy, a to wskutek wielokrotnego pod tym względem doświadczenia. Natomiast znane są fakty, że skargi pomieszczone w *Zaraniu* złemu zapobiegły lub je przecinały".

Powołując się na zamieszczane w swym piśmie artykuły i korespondencje, pan M. stanowczo przeczy, aby przemilczał wady ludu a jedynie księży i ziemiaństwo krytykował. Przeciwnie, mówi się tam ludowi najwięcej o jego własnych wadach. Pan Szeliski nie przypuszcza, aby pan M. chciał chłopów zajmować polityką; na to odpowiada redaktor *Zarania*: „Inne sfery z całą zaciętością przypisują sobie wyłączne prawo prowadzenia polityki, czyż zatym lud stanowiący pień i szkielet narodu, nie ma bodajby prawa poznać polityki życia społecznego?"

Pan Szeliski w odpowiedzi swej wyraża raz jeszcze wątpliwość, aby władza duchowna nie miała wysłuchiwać słusznych zażaleń parafji na proboszczów, pozostawia jednak ten punkt obrony przedstawicielowi duchowieństwa. Nie uznaje też, aby w praktyce można rolę *pomocniczą* inteligiencji i ziemiaństwa względem ludu ściśle odróżnić od roli *przewodniczącej*. W kółkach rolniczych — twierdzi — „włościanie sami bez żadnego nacisku wybierali na przewodniczących zarządu obywateli", tam zaś, gdzie wyjątkowo „stało się inaczej", „prezesostwo włościanina na dobre kółku nie wyszło". Może z czasem będzie inaczej. „Za parę, kilka lub kilkanaście lat włościanie tak się wyrobią, że sami potrafią mądrze się rządzić. Życzę im tego z całego serca".

Sprawy Sokołówka i Kruszynka pan Sz. nie porusza, gdyż przyznaje, że ich dokładnie nie zna. Z listami chłopskimi pogodzić się nie może, a ze wzmianki pana M., że korespondencje te do poczytności *Zarania* się przyczyniają, wysnuwa dziwny zaiste wniosek, że pismo to swe powodzenie opiera na „sensacji". Zupełnie nie orjentuje się pan Sz. w tym, że „sensacją" są te listy jedynie dla księży i ziemian, dla tych wogóle, którzy widzą w tym coś gorszącego, gdy chłop, przyszedłszy do głosu, krytykuje tych, których przez wieki zwykł słuchać. Dla chłopów zawierają one tylko dobrze im znane fakty szarej rzeczywistości ich życia w oświetleniu budzącej się samowiedzy i pragnienia reform. Nie to, co piszą, lecz to, że piszą, jest osobliwością, a więc *sensacją*. „Wytykanie ludziom błędów" jest wedle zdania p. Szeliskiego „słabostką ogólno-ludzką", „tym ponętniejszą, jeśli krytykowani, czy to pod względem materjalnym, czy społecznym, czy umysłowym, choć odrobinę wyżej stoją od nas". Sądzi, że „podniecanie i rozwijanie tej słabostki" nie powinno być celem pisma ludowego, gdyż ono winno dawać chłopu „strawę duchową", „zdrową, czystą, bez przymieszek, zatruwających organizm ludu".

Jakkolwiek pan Szeliski bardzo się gniewa, że p. Malinowski przypisuje warstwom wyższym, jako ogólne hasło, słowa podobno wyrzeczone niegdyś przez posła Jordana „Milcz chamie" — jego ostatnie zdanie jest właściwie potwierdzeniem tego podejrzenia. „Zatruwaniem organizmu ludu", nazywa się tu „krytykowanie wad innych stanów". My sądzilibyśmy, że jest to lekarstwo dla tych stanów, których organizm może tym skuteczniej trawić trucizna, gdy się czują od krytyki wolne, nietykalnością osłonięte. Jeżeli i krytykę rzeczywistych wad nazwiemy „słabostką", toć i pan Szeliski nie jest od niej wolny, i on krytykował *Zaranie*, jego kierowników i czytelników, a nie jest wcale rzeczą dowiedzioną, czy i tu krytykowani nie są pod pewnym względem — nie społecznym i materjalnym, lecz może umysłowym lub moralnym wyżsi od krytykującego. Rozwijająca się na ten temat dyskusja już wobec listu Marji Biniekówny nasuwała bardzo poważne wątpliwości.

KRONIKA.

SPRAWY WYCHODŹCZE. Z biura Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami otrzymujemy następujące zawiadomienie: Wobec szybkiego zbliżania się wzmożonego ruchu wychodźczego po ukończonych żniwach, uważamy sobie za obowiązek przypomnieć, że Towarzystwo Opieki nad Wychodźcami udziela *bezpłatnie* wszelkich wiadomości wychodźcom, jadącym do Ameryki (do Stanów zjednoczonych, Brazylji, Argentyny i Kanady) dostarcza porady lekarskiej (za 50 kop. od osoby), oblicza dokładnie koszty podróży na lądzie i morzu, ułatwia nabywanie kart okrętowych na wszystkie linje, chroniąc wychodźców od wszelkich zawodów, jakoteż od wyzysku tajnych agientów. To też każdy, kto zamierza wyemigrować do Ameryki, powinien zgłosić się osobiście lub listownie (załączając 7-kopiejkową markę na odpowiedź) do biura Towarzystwa, które tylko dobro wychodźców mając na celu, stara się każdemu usłużyć, stosownie do jego potrzeb i wymagań. Biuro podaje adresy polskich towarzystw opiekuńczych oraz biur ochrony kobiet w Ameryce.

Wobec panującej w Rosji cholery, nikt nie może odpłynąć z portu wcześniej, niżeli w pięć dni po przejechaniu granicy, o czem wszyscy wychodźcy pamiętać powinni; dzień przejazdu przez granicę wlicza się do tych pięciu dni, a więc kto chce odpłynąć z portu w sobotę, musi przejechać przez granicę najpóźniej we wtorek. Natomiast pomimo cholery ani na pruskich stacjach kontroli, ani w portach, kwarantanny nie ma, dezynfekcji zaś podlega ubranie i brudna bielizna; w czasie dezynfekcji wychodźcy kąpią się.

W biurze Towarzystwa można dostać po niskiej cenie książeczki — przewodniki po Ameryce, oraz podręczniki do nauki języka angielskiego i portugalskiego. Książeczki te są lepsze i tańsze od wszystkich innych ogłaszanych przez ludzi, którzy nigdy sami w Ameryce nie byli, potrzeb naszych wychodźców nie znają i nieraz fałszywie ich informują.

Biuro Towarzystwa znajduje się w Warszawie, przy ul. Erywańskiej 6 (tel. 68-30) i jest otwarte codzień od god. 11 rano do 3 po południu.

KURSY WIECZORNE HANDLOWO-PRZEMYSŁOWE dla mężczyzn i kobiet (kurs akademji handlowych), pod zawiadywaniem Ministerjum Handlu i Przemysłu. Złota 30. Telefon 68-45.

Kursy mają za zadanie wytworzenie zastępu osób, które by mogły pracować w przemyśle krajowym i w urzędowaniach, przedsiębiorstwach przemysłowo-handlowych, fabrykach, instytucjach przyszłego samorządu, Towarzystwach ubezpieczeniowych, oraz na kolejach żelaznych.

Kurs dwuletni z podziałem na 4 semestry; (nie licząc kursu wstępnego z podziałem na 2 semestry). W poczet rzeczywistych słuchaczów I-go kursu przyjmuje się osoby obojga płci nie mniej, jak z sześcioklasowym wykształceniem; kandydaci, posiadający świadectwa z niższym zakresem wiadomości, będą przyjęci na kurs wstępny.

Kandydaci zaś, nie odpowiadający powyższym warunkom, mogą wstępować, jako wolni słuchacze, zapisując się na kilka lub na wszystkie przedmioty (po zdaniu egzaminów z głównych przedmiotów).

Na I-ym i II-im kursach wykładane są przez profesorów-specjalistów przedmioty w zakresie akademji handlowych: rachunkowość, buchalterja, ekonomja polityczna (historja jej, oraz ogólny kurs), historja handlu i gospodarki, prawo cywilne, handlowe; wekslowe, finanse, gieografja handlowa ze statystyką, ekonomja, towaroznawstwo z technologją, fizyka, matematyka, korespondencja handlowa, stenografja, psychologja z pedagogiką oraz języki nowożytne.

Na kursie wstępnym wykładane są zasadnicze przedmioty ogólnokształcące w zakresie szkoły średniej ze szczególnym uwzględnieniem języków nowożytnych.

Dla osób, pragnących pogłębić nabyte wiadomości, oraz wyspecjalizować się w działach: ubezpieczeniowym, kolejowym, gospodarki miejskiej lub ziemskiej, będzie otworzony kurs trzeci i czwarty.

Przy kursach otworzone są klasy języków nowożytnych: francuskiego, niemieckiego i angielskiego, oraz korespondencji handlowej w tychże językach, stenografji i kaligrafji.

Wykłady od $6^1/_2$ do $10^1/_2$ wieczorem.

Kończący kursy otrzymują dyplomy z odbytych studjów, wolni słuchacze świadectwa.

Zapisy na kursy odbywają się dwa razy do roku: przed rozpoczęciem wiosennego semestru — w grudniu i styczniu i jesiennego — w czerwcu i wrześniu.

Wykłady w bieżącym roku rozpoczną się 1 października, w gmachu szkoły im. Adama Mickiewicza (Złota 30).

Opłata na kursie wstępnym półrocznie 50 rb., na specjalnych 60 rb. Wolni słuchacze, zapisując się na oddzielne przedmioty, opłacają po 5 rb. za każdą godzinę w stosunku półrocznym.

Członkowie Towarzystwa „Jedność", oraz Towarzystwa Handlowców korzystają z ulg.

ODMOWA I JEJ MOTYWY. Grono osób z obozu demokracji chrześcjańskiej już od dłuższego czasu zabiegało o zalegalizowanie instytucji p. n.: „Stowarzyszenie nauczania początkowego robotników chrześcijańskich". Starania te były systematycznie odrzucane zawsze ze względów natury formalnej. Obecnie pod adresem jednego z założycieli, d-ra Rakowskiego, nadeszła odpowiedź z odmową kategoryczną, przytym już nie formalnej natury. Motywy odmowy, jako posiadające charakter zasadniczy, zasługują na przytoczenie.

Urząd do spraw Związków i Stowarzyszeń, motywując odmowę, tak pisze:

„Zawiadamia się d-ra Kazimierza Rakowskiego, że — na zasadzie 6 punktu tymczasowych przepisów o Stowarzyszeniach, podanie jego zostało odrzucone, ponieważ z określenia sposobów działalności Stowarzyszenia widocznym jest, *że cel tegoż, a mianowicie szerzenie kultury polskiej jest* (jawlajetsia) *zarazem dążeniem do wyodrębnienia interesów polskiego narodu i może prowadzić do następstw, zakłócających spokój publiczny — zaś, w myśl wyjaśnień* Senatu Rządzącego w kwestji Stowarzyszeń *Proświta* i *Oświata, wszystkie podobne Stowarzyszenia podlegają punktowi 6 czasowych przepisów o Stowarzyszeniach*".

KREDYT NA CERKWIE. Prawosławny konsystorz chełmski otrzymał z synodu zawiadomienie, że wyznaczane przez rząd corocznie kredyty na budowę nowych cerkwi prawosławnych na kresach w roku 1911 zostaną podwojone. Dzięki temu, część żądań konsystorza chełmskiego w sprawie wyznaczenia mu funduszów na budowę nowych cerkwi w Chełmszczyźnie będzie uwzględniona.

WYBORY W ODESIE. Na wyborach ściślejszych, d. 19 września, przeszedł związkowiec, bar. Renaux (757 gł.), podczas gdy dr. Czanszańskij, kadet, zebrał 538 gł.

Jak silnym był teror ze strony związkowców pod egidą osławionego gen. Tołmaczewa, świadczy fakt, że połowa wyborców żydów wolała głosy swe oddać na związkowca, niż narazić miasto na rozruchy.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Za grzechy XVII-go wieku, przez M. — ODCINEK: B. Leśmian: Znaczenie pośrednictwa w metafizyce życia zbiorowego. — Kooperatywa a socjalizm, przez Jerzego Kurnatowskiego. — Nadbałtycka „Chełmszczyzna", przez I. M. — Angielskie „Trades Unions" w 1908 r., przez K. Komarowskiego. — NA DOBIE: Etyka religijna i moralność świecka. — Dwie miary. — Cudotwórcy. — Na tropie szatana, przez L. B. — Dla „pilnych". — BADANIA NAUKOWE: Jezus a historycy, przez Andrzeja Niemojewskiego. (Ciąg dalszy). — LITERATURA I SZTUKA: Janka Kupała: „Adwiecznaja pieśnia" u XII-ci projawach, przez Zenona Pietkiewicza. — Aleksander Bolesław Brzostowski: „Ci, których znałem", przez Wł. G. — Wrażenia teatralne, przez Stanisława Czerskiego. — Z PRASY: Z prasy polskiej. — Kronika. — OGŁOSZENIA.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.